



## ZMIANY

To chyba najlepsze słowo, którego można użyć w stosunku do trzymanego przez Ciebie, drogi czytelniku, Arkham Couriera. Minął prawie rok odkąd ukazał się pierwszy numer naszego magazynu i trzeba przyznać, że był to okres wyczerpanej pracy i poszukiwań wydawcy, grafików, fotografów czy wreszcie autorów. Nie jesteśmy pismem komercyjnym dlatego też nie dziwi nas, że część autorów wolała swoje teksty oddać do Magii i Miecza czy Portalu cieszymy się jednak z tego co mamy, a mamy całkiem sporo. Przede wszystkim dwa opowiadania rozgrywające się w realiach Lovecraftowskich, ciekawy artykuł Jerzego Cichockiego o Mi-Go łączący w sobie wiedzę dostępną z większości dodatków do Cthulhu oraz własne dywagacje autora, Bezimienne Miasto, które tak bardzo przypadło wam do gustu i mój osobisty faworyt czyli scenariusz autorstwa Tomasza Barańskiego.

Na ten numer mieliśmy zaplanowane również teksty Julie Hoverson i Johna Tynesa, ale poczekamy z nimi do numeru kolejnego, który ukaze się niebawem. Dołączyli do nas nowi graficy, którzy miejmy nadzieję będą nam dalej towarzyszyć. Korzystając z okazji chciałbym podziękować następującym osobom: Miłoszowi za pochlebną recenzję i masę cennych uwag, Ignacemu Trzewickowi za skład i pomoc w druku i dystrybucji, wszystkim, którzy zasilili nasz magazyn swoimi materiałami oraz tym, którzy zakupili poprzedni numer (z naszych obliczeń wynika, że w świat powędrowało około 200 egzemplarzy).

Dziękuję wszystkim cthulhystom za stworzenie wspaniałej atmosfery dzięki, której udało nam się co najmniej radośnie spędzić kilka konwentów. Miłej lektury i do zobaczenia.

Adam "Wolvie" Wieczorek

## BEZIMIENNE MIASTO

Zbudził się ze snu wcześniej. Założył czarny dres, trampki i bluzę. Wbiegł żwawo na żwirową ścieżkę. Od ściany lasu dzieliło go kilkanaście metrów. Ciemne drzewa szumiały głucho. Odgłos docierał do niego na granicy słuchu. Znał go zbyt dobrze. Dobiegł już do pierwszych drzew, będących forpocztami prawdziwych ciemnych czeluści leśnej głuszy. Przebiegł obok ogromnej sosny, najokazalszej w całym tutejszym drzewostanie. Nagle, na krótką chwilę ogarnął go cień. Szybko jednak wybiegł z niego. Truchtem przebył jeszcze kawałek i... zobaczył prześwity w ścianie lasu. Przed nim powinien być jeszcze ogromny obszar drzew... Wybiegł, przedzierając się przez krzaki znajdujące się na drodze ku światłu. Było późne popołudnie. Stał na oblanej mgłą i kroplami rosy łące. W oddali dostrzegł kształty budowli. Na wzniesieniu bez wątpienia znajdowało się Miasto...

### *wolności duCh*

Spojrzał na rękę i wtedy przypomniał sobie. Zegarek leżał przy łóżku, na nocnej szafce, tam, gdzie zostawił go przed drzemką... W pośpiechu zapomniał go wziąć. Nie wiedział ile jeszcze ma czasu. Przez chwilę stał w bezruchu, jakby bał się, że każde najmniejsze skinięcie rozwieje wznoszącą się przed nim uludę. Krajobraz jednak nie znikał. Opanował go niepokój. Słońce powoli opuszczało się za wzgórze. Nad samym Miastem wisiały mgły. W czerwonych promieniach nieśmiało przedzierających się przez nie, ciemne kształty strzelistych wież i piętrzące się, nachodzące na siebie budynki wyglądały jeszcze bardziej niezwykle i tajemniczo. Cały obraz drżał i migotał jakby powietrze, które wypełniało przestrzeń, nagrzane było od słońca. Miasto go wzywało... ale nie potrafił sobie przypomnieć, by... To musiały być zwidy. Przez chwilę zastanawiał się, co robić. Nie mógł spóźnić się na nocną zmianę. Ostatnio nawet on nie mógł być pewien swej posady. Prasa chyba tylko ze względu na przyzwoitość nie nazywała rzeczy po imieniu, ale słowo recesja aż biło w oczy. Ciągłe słyszano o demonstracjach niezadowolonych ludzi, likwidowano zakłady, inne same nie wytrzymały i padały. W jego miejscowości grupa ludzi, którzy nie mieli pracy stale się powiększała. On przynajmniej miał gdzie się zahaczyć. Tym bardziej nie mógł sobie pozwolić na to, by dać szefowi pretekst. Ten tylko na to czekał, by w to miejsce dać pracę swojemu szwagrowi. Myśląc o tym zawrócił.

### *bytności cIEń*

Między nim, a ścianą lasu stał młody chłopiec. Miał trzynaście, może czternaście lat. Ubrany w dżinsy i bluzę z kapturem stał tak i patrzył na niego. Ręce trzymał za sobą, jakby coś chował.

– Zgubiłeś się..? – zapytał.

Chłopiec w odpowiedzi tylko pokręcił przecząco głową. Cały czas uśmiechał się przyjaźnie. Tomasz nie bardzo wiedział co robić. To dziwne, że tak późno taki mały chłopiec był w środku lasu sam...

– Może odprowadzić cię do domu..? Mama pewnie martwi się o ciebie...

Chłopiec znów nie odezwał się ani słowem, tylko z przekonaniem ponownie pokręcił głową. Nie przestawał się uśmiechać... Wzruszył tylko ramionami. Nie zamierzał przejmować się jakimś małym bachorem.

Wiedział, że w dzisiejszych czasach dzieciaki same świetnie sobie radzą i nie potrzebują żadnej pomocy. Ale kiedy ruszył przed siebie, chłopak zagroził mu drogę.

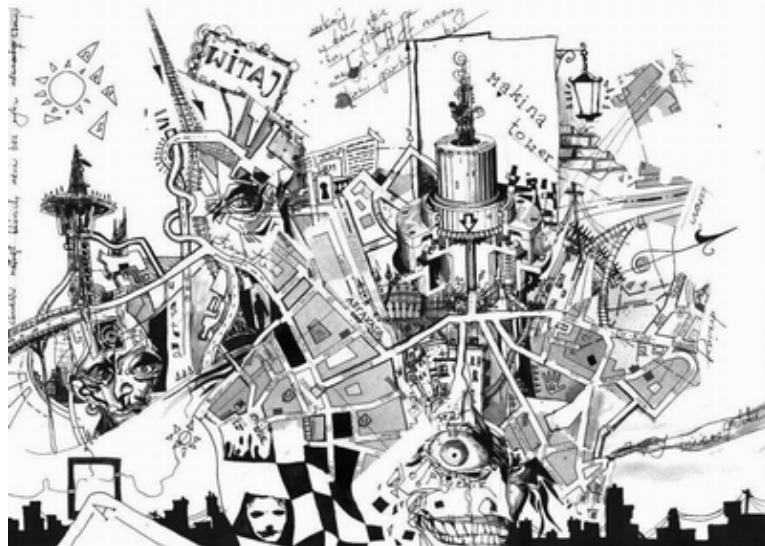
– O co ci chodzi?

Dzieciak nic nie mówił, ale wyraźnie nie pozwalał mu przejść.

– Mały, daj sobie luz, wracaj do domu zanim zrobi się ciemno.

Ruszył przed siebie próbując wyminąć chłopca. Wtedy wyraz twarzy małego nagle się zmienił. W oczach miał szaleństwo, a na twarzy malowała się nienawiść... Szybciej niż zdążył zauważyć, zza pleców chłopca wynurzyły się ręce z kijem baseballowym... W ułamku sekundy próbował zasłonić się, ale przedmiot zatoczył szeroki łuk i wylądował na wysokości pasa. Ciało przeszył silny ból. Chłopiec był znacznie silniejszy niż na to wyglądał. Mężczyzna skulił się mimowolnie. Podnosił głowę by spojrzeć na chłopca, gdy kij wylądował na jego podbródku. Padając na plecy zobaczył kątem oka, jak ostatni fragment słońca chowa się za wzgórzem. Chłopiec cały czas się uśmiechał, ale w tym uśmiechu była pogarda. Trzeci cios spadł na korpus, kiedy już leżał na ziemi...

### *w obJęciach sEnnej SzTuki*



Ocknął się, kiedy już było ciemno. Powoli otworzył oczy. Chłopca nigdzie nie było. Leżał na bruku w mdłym świetle gazowych latarni. Nad nim wznosiła się wysoka kolumna...

Znajdował się na brukowanym rynku. Dokładnie w centrum zgrabnie uformowanego okręgu, którego granice stanowiły wysokie, sięgające niemal chmur kamienice. Nadal kołowało mu się w głowie. Myśli nierówno błędziły po mózgu. Jedyną rzeczą, którą pamiętał był jego bieg przez las, a potem spotkanie z chłopcem. "Chłopcem? Czy to się naprawdę wydarzyło..." – mimowolnie zapytał sam siebie. Która mogła być godzina... Ściemniło

się już lecz nie był dokładnie pewien... Żona będzie się martwić. Nie chciał już nawet myśleć o pracy. Szefer pewnie najął już kogoś nowego... Dostrzegł oddalającą się od centrum placu staruszkę. Chwiejnym krokiem pobiegł za nią.

– Przepraszam, czy nie wie pani, która godzina? – zapytał dobiegając do przygarbionej, wolno pracującej przed siebie postaci. Staruszka obróciła osypaną siwym włosom głowę w jego stronę. Puste drążące przestrzeń oczy wlepiała w niego. Poczł się niezręcznie. Lustrowała go wzrokiem, a on ciągle czekał. Miał nadzieję...

– Tam – odpowiedziała ochryplym głosem, wskazując jednocześnie na przeciwny kraniec rynku. Znajdowała się tam wieża ratuszowa, z zawieszonym na niej zegarem. Podziękował głosem pełnym niepewności. Lecz po pofałdowanej grzebień czasu twarzy zamarłej w bezruchu, z palcem wskazującym na ratusz staruszki nie przebiegł żaden grymas.

Powolnym krokiem szedł w stronę zegara. Budynek ratusza, w który wciśnięta była niewysoka wieża znajdował się już niedaleko. Mimo to godzina wskazywana przez zawieszony tam zegar nadal była niewidoczna. Dopiero gdy znalazł się kilka kroków od okutych żelazem dębowych drzwi ratusza, zadarłszy głowę, ujrzał wędrujące wskazówki. Przeraził się... Nie dość, że kręciły się do tyłu, zachowywały się jak wiatraki na jesiennym wietrze. Na chwilę odwrócił głowę. Omamy... to muszą być omamy... Lecz to chyba nie było takie proste. Przynajmniej on nadal widział dwie rozbawione w szaleńczym tańcu z wiatrem wstęgi metalu. To było za dużo jak dla niego na jeden dzień... Zbyt dużo. Nie chciał już oglądać chorobliwego urządzenia. Wbił wzrok w czubki butów i udał się w kierunku najbliższej kawiarni, których na rynku było zaledwie kilka. Natrafił na "Wiosenny Powiew". Czerwone parasole stojące przy stolikach odbijały w niewielkim stopniu światło gazowych latarni. Przy drewnianych stolikach siedziało kilka osób. Wybrał miejsce w kącie, zaraz obok dużego drzewka doniczkowego. Usiadł i czekał. Czekał na kelnera, który przyniosłby mu listę dań. Czekał...

*samoTnYM być*

Kelner nie zjawiał się. Minęło może dziesięć minut. Obserwował siedzących w kawiarnianym ogródku ludzi. Wszyscy zachowywali się bardzo dziwnie, tak jakby nikt nikogo nie widział. Mężczyzna w czarnym płaszczu i w kapeluszu na głowie siedział sztywno jak jakiś posąg. Para po drugiej stronie całowała się namiętnie nie zwracając uwagi na otoczenie. Nikt nie zauważył jego obecności. To miasto... było dziwne... Spojrzał jeszcze raz na rynek... Ze wszystkich stron, z wąskich uliczek wpełzały białe macki mgły, liżąc podstawy kamienic, pieszcząc pobliskie bramy i wypełniając je, jak mleko z piersi wypełnia usta dziecka. Wzdrygnął się... Nie miał ochoty znaleźć się w tej mgle. Lekko podenerwowany wstał i wszedł do środka.

*straCh... malucZcY... zMysł...*

Bar był pusty. Wnętrze wyglądało tak, jakby od lat nikt tu nie wchodził. Leżące na drewnianej podłodze porozbijane okruchy szkła jak wszystko dokoła pokryte były grubą warstwą kurzu. Połamane krzesła już dawno nie czuły ludzkiego dotyku. I do tego ta cisza. Słyszał każde swoje poruszenie, szelest materiału pocieranego o materiał. Słyszał wyraźnie nawet bicie swego serca. Naprzeciw wejścia zobaczył drzwi do toalety. Rozcięty łuk brwiowy zapiekł boleśnie przypominając o sobie. Dotknął czoła i popatrzył na palec. Na

opuszkach znaczył się ślad świeżej krwi... Chciał chociaż obmyć twarz. Czuł, jak powoli zaczyna puchnąć. Skrzywił się i nie myśląc wiele ruszył ku drzwiom.

*seJt tjsE ejSt Tejs*

Otworzył je i... zastygł w miejscu... Przed nim rozciągała się przestrzeń. Stał na krawędzi skały, a jakieś pięćdziesiąt metrów pod jego stopami szalało morze rozbijając się o klif. Na twarzy poczuł chłodną morską bryzę. Gdzieś na krawędzi widoczności, po lewej stronie dojrzał mdłe światło latarni morskiej. Wokół wolno zapadała ciemność. Przerażony zamknął oczy, zatrasnął drzwi i odetchnął głęboko. Był o krok od śmierci. To Miasto było chore. Ludzie siedzący przy stolikach, nie zwracający uwagi na nic. Ten dziwny zegar, którego wskazówki tańczyły jakiś straszliwy taniec na wietrze. Staruszka z obłąkanym wzrokiem i kawiarnia, która nie jest kawiarnia. Kiedy otworzył oczy... osunął się po drzwiach. W pomieszczeniu było duszno i gęsto od dymu papierosów i cygar. Przy stolikach siedzieli ludzie, rozmawiali ze sobą, pili wino, wszędzie krzątały się dziewczyny w jednakowych strojach i białych fartuszkach. Jedna z nich zaniepokojona podbiegła do niego.

– Coś się stało...? Coś panu podać..? – w jej oczach zauważył troskę. – Zrobił się pan nagle taki blady... Była bardzo ładna. Nie rzucała może na kolana, ale było w niej coś tak kobiecego, coś pięknego. Nie mogłaby chyba zostać modelką, pomyślał, ale nie była zwykłą dziewczyną, jakie codziennie spotyka się na ulicach. Jak... jak... nie mógł sobie przypomnieć nazwiska tej aktorki... Grała z Tomem Hanksem w "Bezsenności w Seattle..." Meg... Meg... Miał to na końcu języka... Ryan...

– Meg... – wyszeptał.

– Czy my się znamy..? – Kelnerka spojrzała na niego zdziwiona. – Skąd pan zna moje imię..?

Tego było za wiele... Zakręciło mu się w głowie i znów odpłynął w ciemność.

Ocknął się z zimna. Nie mógł opanować szczykowania zębami. Leżał w porannej rosie, na leśnej polanie.

Polanie, przez która codziennie przebiegał w czasie swojej gimnastyki. Znal te drzewa, znalazł krzaki dookoła.

Był w domu...

Ulmo

**Jerzy Cichocki**  
**SZARAKI Z YUGGOTH**

Kiedy byłem mały, śledziłem podbój kosmosu z zapartym tchem. Wyścig, który toczył się pomiędzy imperiami kosmicznych inżynierii, Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim, sprawiał jedynie, że traktowałem ten podbój jako swego rodzaju konkurencję sportową. Konkurencję, której nagrodą był międzynarodowy prestiż. I przez długi czas ZSRR wyprzedzało Amerykanów o głowę. Dziś wiem, że obu stronom nie zależało tylko na prestiżu, ale na wiedzy i sile, której poszukiwali wśród gwiazd...



Czy jakiegokolwiek państwo wydawałoby fortunę tylko dla zaspokojenia własnych ambicji? Chyba nie. W latach sześćdziesiątych nie myślano jeszcze o podbojach innych planet. Czy szukano zatem odpowiedzi na dręczące ludzkość pytanie, o powstaniu wszechświata? To już znacznie bliżej, ale czy odpowiedzi szukano na Księżycu? Dziś wy i ja wiemy, że na naszym satelicie istnieje życie, ale znajduje się ono głęboko w ukryciu, głęboko w mroku, na ciemnej stronie Księżyca... Czy tych istot szukali amerykańscy astronauty, którzy jako pierwsi ludzie postawili stopę, na tej najbliższej nam gwiazdzie? Takich pytań możemy zadawać sobie w nieskończoność. Dziś oczywisty jest dla mnie fakt, że do spotkania doszło później i gdzie indziej, tak aby nie wyróżnić żadnej ze stron...

**Wostok** – seria sześciu radzieckich załogowych statków kosmicznych, wysyłanych w latach 1961 – 1963, przeznaczonych oficjalnie do badań zachowania się organizmu ludzkiego podczas lotów kosmicznych; działania aparatury statków; sprawdzenia systemów łączności między statkami; realizacji lotów zespołowych. Wostok 1 (start 12.IV.1961) był pierwszym statkiem kosmicznym z ludzką załogą (J. Gagarin).

Zakazane księgi nie wiele nam mówią o przybyszach z innego układu. Najdokładniejsze z nich wspominają, że przybyli na Ziemię sto sześćdziesiąt milionów lat temu i nazywają je Mi-Go, Grzybami z Yuggoth. Podczas gdy one obserwują nas od początku naszego powstania, nasze organizacje zdały sobie sprawę z ich istnienia dopiero niedawno. W 1972 roku doszło do podpisania między USA i ZSRR porozumienia o współpracy w dziedzinie badań i pokojowego wykorzystania przestrzeni kosmicznej. Nie dysponuję żadnymi dowodami na potwierdzenie moich przypuszczeń, ale jestem pewien, że do zbliżenia dwóch konkurujących ze sobą mocarstw doszło według mizernego, z góry przygotowanego planu tej obcej rasy. Wynikiem tego porozumienia był radziecko-amerykański załogowy lot kosmiczny statków Sojuz i Apollo (EPSA, *Ekspierimentalnyj projekt Sojuz – Apollo*, Apollo – Sojuz Test Project). Zanim doszło do połączenia, oba statki przystosowano do wspólnych standardów, być może wspólnych także trzeciej stronie... Nie wiem jakiej ceny zażądali za informacje, które w znacznym stopniu przyczyniły się do poznania ich natury. Nie wiem także kiedy rozpętała się wojna z ich poplecznikami na Ziemi. Do tej pory żyliśmy w przekonaniu, że to nam dane było spotkać się z Mi-Go po raz pierwszy, ale one już od dłuższego czasu układają się z naszymi przeciwnikami. Nadszedł czas, kiedy trzeba o tym powiedzieć całemu światu, bo dziś Grzyby z Yuggoth ukrywają się na niedostępnych szczytach gór, a jutro zejda do naszych miast!

Nie wierzcie nikomu. Mi-Go to obca rasa, której tok rozumowania jest nam zupełnie obcy. Dochodzą do swego celu po starannie zaplanowanej drodze. W swym postępowaniu przypominają zimne maszyny, nie znają czegoś takiego jak intuicja, w związku z czym nigdy się nie mylą. Tok logiczno-czynnościowy może przebiegać u nich wolniej, ale w końcu wybiorą najwłaściwsze wyjście. Ich świadomość buduje jeszcze dziwniejsza cecha. Otóż mają one zdolność selektywnego doboru wspomnień, przeżyć, doświadczeń. W ten sposób wszelkie doznania i wiadomości, które zostaną uznane za nieprzydatne, ulegną zapomnieniu i dzięki

temu powiększy się obszar efektywnego wykorzystania ich "mózgu". Choć zwiększa to obszar do zapamiętania istotnych informacji, jednak zdecydowanie pogarsza ich możliwości adaptacyjne w nowym środowisku. Mi-Go nie dysponują wspomnieniami w związku z czym nie kojarzą pewnych faktów. Usunięcie zbędnych informacji spowodowało, że nawet one same nie znają początków swojej rasy...

Genialność ich umysłów, czy też wielowiekowe zbieranie doświadczenia naukowego, pozwoliło im rozwinąć technologię w dziedzinach, które my dziś dopiero odkrywamy. Oprócz tego, że perfekcyjnie panują nad transformacją swojego ciała, potrafią również przeprowadzać skomplikowane operacje, także na ludziach! To Wilmarth relacjonował o niezwykłych urządzeniach w domu Akeleya. Były tam między innymi dziwne cylindry, do których dzięki "bezbolesnym zabiegom" można było przetransportować ludzki mózg. Odpowiednio zasilany był w takim środowisku w stanie odbywać niezliczone i nawet najdalsze podróże. Reszta ciała w tym czasie, również odpowiednio podtrzymywana przy życiu spoczywała bezpiecznie na miejscu. Mimo wszystko technika obcych może się wydawać przerażająca. Wszak to, co Wilmarth brał przez cały czas za ciało swego gospodarza, było perfekcyjną kopią, zbudowaną przez Mi-Go. "[...] trzy przedmioty leżące na fotelu, doskonale aż po najdrobniejsze szczegóły odznaczające się wprost mikroskopijnym podobieństwem... identyczne... to była twarz i ręce Henry Wentwortha Akeleya."<sup>1</sup> Czy mając świadomość obecności wśród nas takich istot, możemy czuć się bezpiecznie?



Co je tu sprowadziło? Co spowodowało, że założyły pierwszą kolonię w Apalachach, toczyły wojny ze Starszymi Istotami i towarzyszyły nam przez wszystkie zmiany, które przeżyła Ziemia od ich przybycia? Wreszcie co takiego miały do ukrycia, bądź do zaoferowania, że Rosjanie zintensyfikowali w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych loty kosmiczne, by w końcu zbudować stałą bazę orbitalną?

**Sojuz** – seria radzieckich trzyosobowych statków kosmicznych, także typ rakiety nośnej tych statków, oficjalnie przeznaczonych do badań działania urządzeń statków, systemu ich łączenia i łączności między nimi, obserwacji astrofizycznych i meteorologicznych. Odbłyło się 22 lotów statków serii Sojuz, od IV.1967 do IX.1976 roku.

Nie znamy ich celów na Ziemi, tak jak nie znamy motywów kierujących poczynaniami innych, przerażających ras. Wiemy, że obserwują nas od początku naszego istnienia, dzięki czemu łatwo im przewidzieć nasze poczynania. To ich najgroźniejsza broń. Dlatego nieszablonowe, odbiegające od normy zachowanie, może je lekko dezorientować. Jednak do dziś Grzyby z Yuggoth bez powodzenia próbują tak przystosować strategię własnego rozumowania, by przybliżyć się do nas i poznać działanie intuicji. Wiedza, to jedna z rzeczy, której łakną.

Dotychczas tajne organizacje, takie jak ta, w której pracowałem, sądziły, że Mi-Go zakładają kopalnie w niedostępnych rejonach naszego świata, aby wydobywać tam ziemskie pierwiastki i materiały nie dostępne na ich rodzimej planecie, bądź planetach. W istocie, korzystają one z korzyści jakie daje im drążenie tuneli, jednak czynią to w innym celu. Grzyby z Yuggoth opanowały prawdopodobnie technikę podobną do tej, dzięki której Ghoule przedostają się do Krain Snów. Daleko, w ukrytych przed oczyma ludzi zakątkach, Mi-Go drążą tunele, dzięki którym przedostają się do wielu innych wymiarów. Wydobywane pierwiastki są tylko efektem ubocznym ich pracy. Tłumaczy to fakt odkrywania, w różnych etapach naszych dziejów, pierwiastków, o których nigdy nie podejrzewaliśmy...



Istnieją domniemania, że po przybyciu na Ziemię, służyły lub oddawały nawet cześć Shub-Niggurath. Być może były także wierne Ithaquce i Nyarlathotepowi. Ich podstawowym motorem napędowym do działania jest poszukiwanie i kontrola nad energią. Chcą ją opanować, by osiąść moc równą Wielkim Przedwiecznym. Często zachodzą z tego powodu konflikty między Grzybami z Yuggoth, a Przedwiecznymi. Ma to miejsce również z powodu ludzi – potężni bogowie nie widzą korzyści z ludzi, ich ewentualne kulty traktują z pogardą i gdy tylko nadarzy się ku temu okazja, są w stanie zniszczyć całą ludzkość, co Mi-Go uważają za marnowanie źródła energii, którą posiadamy, i którą potrafimy tworzyć. W ostatnich latach zintensyfikowały z tego powodu swoje prace nad poznaniem natury człowieka, bo zdają sobie sprawę, że gwiazdy są już blisko właściwemu ułożeniu...

Wspomniałem o rodzimej planecie, czy planetach tych istot. Yuggoth, znane nam jako Pluton, nie jest ich prawdziwym siedliskiem. Wydaje nam się, że jest to ich "przystanek przerzutowy" w Układzie Słonecznym. Poruszanie się w przestrzeni umożliwia im niezrozumiała nam jeszcze budowa ich ciał, jednakże prace w tajnych laboratoriach USA i Rosji (a wcześniej ZSRR) nie ustają. Tak, tak rządy tych mocarstw skrzętnie ukrywały przed nami i sobą nawzajem wiadomość o ich istnieniu i posiadaniu tych organizmów. Rozpad molekularny następujący w ich ciałach po śmierci biologicznej, został zatrzymany przez użycie specjalnych komór, w których działalność komórek zostaje "zatrzymana w czasie."

**Salut** – seria radzieckich doświadczalnych stacji kosmicznych, których celem oficjalnie było badanie działania urządzeń stacji, systemów łączenia ze statkami kosmicznymi, obserwacje astrofizyczne i geofizyczne prowadzone przez załogi przybyłe statkami kosmicznymi.

Podczas badań nad budową Mi-Go stwierdzono, że ich grzybopodobna struktura biologiczna nie jest podobna do żadnego poznanego organizmu ziemskiego. Posiadają one zdolność ograniczonej transformacji, od zmiany długości kończyn oraz swych korpusów do przedłużania, bądź skracania czułek pokrywających ich "głowy". Jest to możliwe dzięki niezwykłym cechom budowy wewnętrznej Mi-Go. Komórki, które budują coś na wzór grzybopodobnej materii, wykazują wielozadaniowość, dzięki czemu zmieniają swe funkcje w zależności od potrzeb. Nie ma tu więc znanych z naszej budowy organów wewnętrznych, bo organizm tych grzybów wytwarza je tylko na pewien, potrzebny dla danego zadania, czas. To opanowanie transformacji na poziomie komórek, pozwala im "budować" specyficzne tylko dla określonej jednostki twory, jak szpony, uzbrojone odnóża, czy skrzydła. Być może ta umiejętność wprowadza w społeczności Mi-Go pewnego rodzaju hierarchię, bo zapewne nie wszystkie potrafią latać, jak te, z którymi miałem do czynienia i nie wszystkie przejawiają wojowniczą agresywność. Na przykład na Karaibach (być może także gdzie indziej) żyją małe, pełzające Potomstwo Yuggoth, które całkowicie straciło zdolność do lotu. Są wielkości myszy i jadają ziemską żywność, preferując mięso od roślin. Oprócz tego mają wspólne z Mi-Go cechy (nie mogą być sfotografowane, ich ciała znikają po śmierci itd.).<sup>2</sup>

Jednak wiele jest aspektów zarówno w budowie, jak i sposobie postępowania Mi-Go, których nie jesteśmy w stanie wytłumaczyć. Nie wiemy na przykład, dlaczego nie udaje się sfotografować postaci tej tajemniczej rasy. Powstało wiele teorii, ale żadna nie wydaje się rzeczywista. Nie wiemy też jak im się udaje imitować ludzką mowę. Z wielu zeznań dowiedzieliśmy się, że potrafią nawiązać kontakt w wielu (jeśli nie we wszystkich) językach świata, choć wydają słowa ze specyficznym "bzyczeniem". Czy na potrzeby tego celu wytwarzają odpowiedni organ, którym nie posługują się na co dzień? Jak psy Akeleya wyczuwały obecność nieproszonych gości, kiedy te wkraczały na jego<sup>3</sup>?



Pewne organizacje, pewni ludzie zauważyli aktywność Mi-Go. Zaczęli marzyć o kontakcie z przedstawicielami tej obcej rasy. Zaczęli dążyć do ich wiedzy i siły. Grzyby z Yuggoth zwierzyły w tym kontakcie szansę także dla siebie. Dni ludzi są już policzone – gwiazdy nieuchronnie dążą do właściwej pozycji, a Mi-Go zasiadają pod ukryciem za biurkami najważniejszych ziemskich organizacji...

1 "Szepczący w ciemności", tłum. Ryszarda Grzybowska (Wydawnictwo SR).

2 Potomstwo Yuggoth za oficjalnym dodatkiem firmy Chaosium Inc. "The Bermuda Triangle".

3 "Szepczący w ciemności".



## SAM W CIEMNOŚCI

Siedzę sam w piwnicach starego domu. Nazywam się Dan Sims. Jest długa listopadowa noc. Nie wiem, kiedy się skończy. Nie wiem, czy w ogóle się skończy. Zamknąłem się tu przed Ich wzrokiem. Nie lubią światła, ale świece palą się tak szybko... Piszę to wszystko, by nie oszaleć zupełnie. Piszę w nadziei, że nie odejdę od zmysłów i gdy ten koszmar się skończy, będę umiał wszystko opowiedzieć nie uroniwszy ani kropli z tego, co się tu wydarzyło. Chociaż wiem, że większość z was i tak uzna mnie za szalonego, bądź zrzuci winę na nadmiar młodego wina, czy ciężkie przejścia, to wiem, co widziały moje oczy i wiem, skąd wzięły się te ślady na moim ciele.

Nie wiem, co mnie tu przygnało. Uciekłem z domu przed smutkiem, bólem i wstydem. Jeszcze teraz mam przed oczyma obraz mojej żony w objęciach innego mężczyzny i mdli mnie na ten widok. Zabiłem ich oboje, przynajmniej tu i teraz, gdybym już nigdy nie miał okazji tego zrobić. Nie panowałem nad sobą. Wpadłem w szal... i stało się. Włóczyłem się potem jak cień po ciemnych ulicach Portsmouth, wijących się wężowymi ruchami między stromymi ścianami kamienic, aż dotarłem do stóp wzgórza, które wznosiło się nad miastem. Wspiąłem się na nie wąską ścieżką pnącą się między zeschniętymi krzewami, nie zważając na ból, jaki zadawały ciernie i szedłem wciąż przed siebie, jak szalenię w opętanym dzikim płasie, dla którego nie ma znaczenia, dokąd zmierza. Nie wiem nawet jak i kiedy dotarłem na skalisty klif, wpełzający w ocean mrocznym językiem i pochylający się posępnie nad wściekłymi wodami, ale zmierzchało już, gdy otrząsałem się z odrętwienia. Bolało mnie całe ciało, każdy najmniejszy jego fragment drżał przeniknięty chłodem wieczoru. Siąpił zimny, drobny deszcz, a od morza nadciągał szkwał. W półmroku i mgłę ogarniającej powoli przejrzałe dawno, żółknące już wrzosowiska ujrzałem dom, w którego oknach migotały światła. Na zasłonach, którymi zaciągnięte były okna tańczyły ciemne sylwetki.

Och Boże, gdybym wtedy wiedział, czym się skończy wizyta w owym domu, uciekłbym czym prędzej lub skoczył w szalejące poniżej odmęty. Lepsze by to pewnie było rozwiązanie, niż ten obłęd, którego teraz doświadczam. Jednak wyczerpany i zmarznięty myślałem tylko o tym, by napić się aromatycznej gorącej herbaty i ogrzać w ciepłe domowego ogniska. Ten stary wiktoriański dwór, oświetlany raz po raz błyskami nadchodzącej burzy był wszystkim, czego potrzebowałem. Trzęsąc się cały jak osinowa witka skierowałem swoje kroki w tamta stronę.

Kiedy zapukałem, nikt nie odpowiedział. W tej chwili z nieba lunęły strugi deszczu i w drzewo nieopodal uderzył piorun. Drzwi zatrzęsły się od złowrogiego grzmotu, który przetoczył się po ziemi. Nie namyślając się wiele wszedłem do środka. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego, ale wiedziałem, że ktoś musi w nim mieszkać. Cienie w oknach, które widziałem z daleka nie mogły być złudzeniem. Zawołałem, ale nadal słyszałem tylko monotony szum deszczu bijącego w szyby, przerywany odgłosami szalejącej na zewnątrz burzy. Skierowałem swoje kroki do salonu, z którego dochodziło słabe, migające światło. Przy każdym moim stąpieniu pokryta zniszczonym mocno dywanem podłoga skrzypiała nieprzyjemnie. Nagle poczułem na sobie czyjeś spojrzenie. Przystanąłem i rozejrzałem się. Wydawało mi się, że nikogo nie było, ale to pewnie też było jedynie złudzenie. Po chwili wszedłem do salonu. Jedyne światło, jakie rozjaśniało ten pokój, wydobywało się z kominka, w którym wesoło płonął ogień. Drewno nie zajęło się jeszcze całkowicie, więc ktoś musiał tu być. Poczułem zakłopotanie. Wszedłem bez pozwolenia do obcego domu i panoszyłem się w nim, jakbym mieszkał to od zawsze. I to pod pewną, niemal wyczuwalną obecność właścicieli lub kogokolwiek innego, kto akurat tu mieszkał. W tym momencie usłyszałem za sobą głos.

– Witaj człowieku, kimkolwiek jesteś.

Odwrociłem się wystraszony. W progu za mną stał mężczyzna. Był nawet przystojny. Ciemne, przystrzyżone i zaczesane elegancko włosy na skroniach przyprószone były siwizną. Wyniosła twarz nosiła ślady czasu, ale jego wiek był trudny do określenia. Mógł mieć około czterdziestu lat i równie dobrze mógł dobiegać już pięćdziesiątki. Ubrany był w nienagannie skrojony garnitur.

– Ja... przepraszam – odezwałem się lekko zażenowany. – Pukałem, ale...

– Nic się nie stało – przerwał mi mężczyzna. – W taką pogodę nikt nie powinien przebywać na dworze. Zmarł pan, może ogrzeje się pan przy kominku, a ja przygotuję herbatę.

W jego głosie była siła, która niemal posadziła mnie w miękkim, zabytkowym fotelu. Kiedy ponownie spojrzałem w kierunku drzwi, już go nie było. Nie czekając na to, co zrobię zniknął w korytarzu. Nie zwróciłem wtedy na to uwagi, ale nie zaskrzybiała żadna z desek. Zauważyłem za to coś innego. Gdy zanurzałem się w ciepły materiał, uniosła się z niego chmura kurzu. Dawno nikt w nim nie siedział. Byłem jednak zbyt zmęczony i przemarznięty, by się tym przejąć. W jednej chwili poczułem jak odpływam w kojący sen...

Kiedy obudziłem się, na stoliku obok stała herbata. Była jeszcze gorąca, więc zdawało mi się, że nie mogłem spać długo. Spojrzałem na stojący w kącie stary zegar. Dochodziła dziewiąta, sen zatem zmorzył mnie na dłużej niż przypuszczałem. Podniosłem głowę i spojrzałem w około. Ogień w kominku lekko przygasł, jakby przytłumiony ciszą tego miejsca. Nikogo nie było, ale odkąd tu wszedłem, cały czas miałem dziwne wrażenie, że ktoś obserwuje moje poczynania. Och, gdybym wiedział, jak blisko jestem prawdy... Koszula i spodnie, które stanowiły całe moje ubranie wyschły już prawie, ale z dźwięków dochodzących zza zasłoniętych okien mogłem domyślać się, że burza szaleje nadal. Upiłem łyk herbaty. Smakowała wyśmienicie, było w niej coś... nie potrafiłem tego opisać. Nigdy wcześniej nie piłem tak przyrządzonego napoju. W moich żyłach znów krew zaczęła pulsować szybciej i na chwilę zapomniałem o koszmarze dzisiejszego dnia. Podniosłem się z fotela i powoli podszedłem do stojącej przy ścianie biblioteczki. Trzymając w ręku filiżankę z herbatą przeglądałem tytuły, jakie zawierała. Było tu całe mnóstwo starych książek, oprawionych w przedziwne materiały, napisanych w różnych językach. Sam nie jestem uczonym, więc pochodzenia niektórych z nich mogłem się tylko domyślać. Teraz nie pamiętam ich dokładnie, ale zapamiętałem dokładnie grube tomisko, które musiało sobie liczyć wieki. Na jego okładce wypisany mocno zdobionymi, wykrzywionymi w dziwnych pozach literami widniał tytuł. "Necronomicon". Były tam i inne księgi. Jakies "Die ... Kulten" – nie mogę wydobyć z pamięci jednego ze słów – "Mroczne dziedzictwo", "Zapomnieni bogowie". Większości z nich nie udało mi się odczytać, bo zapisane być musiały w jakichś wschodnich językach. Wystarczyło jednak, że spojrzałem na nie, by przeszedł mnie dreszcz. Przytrzymałem mocniej filiżankę, by nie wypadła mi z rąk i drżącymi dłońmi przysunąłem ją do warg. Kątem oka dostrzegłem ruch za moimi plecami. Odwróciłem się powoli, by gospodarz nie pomyślał, że przyłapał mnie na niecnym uczynku.

– Widzę, że obudził się już pan. – mężczyzna mówił tym swoim głębokim głosem. – mam nadzieję, że nie przeszkodziłem przynosząc herbatę.

– Nie, dziękuję za nią. – czułem się niezręcznie. – Ma pan piękną kolekcję książek. Musiała kosztować fortunę. Założę się, że niejedno muzeum zechciałoby mieć niektóre z tych egzemplarzy w swoich zbiorach.

– Ma pan racje. – nie przestawał się uśmiechać. Odnosiłem wrażenie, że było to aż nienaturalne. – Wiele lat zajęło mi zebranie tego tutaj, ale było warto. Interesuje się pan takimi rzeczami..?

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Przerazały i rozśmieszały mnie jednocześnie wszelkie sprawy związane z magią i okultyzmem, a mogłem się domyślać, że o tym właśnie traktują owe księgi. Nie chciałem jednak urazić kogoś, kto udzielił mi gościny w tak podły wieczór, mówiąc, że to dla mnie bujdy wysane z palca. Teraz, gdy to piszę wiem, jak bardzo się myliłem. Mam tylko nadzieję, że nie jest za późno, by wynieść z tego naukę na przyszłość.

– Przykro mi to stwierdzić, ale zajmuję się bardziej przyziemnymi rzeczami. – odpowiedziałem siląc się na uśmiech. – Jestem tylko sklepikarzem. Z czegoś trzeba żyć i utrzymać rodzinę.

Zająknąłem się mówiąc to i znów wróciły do mnie obrazy dzisiejszego popołudnia. Krwawa jatka, jaką zostawiłem za sobą w moim mieszkaniu w Portsmouth... Świat zawirował i poczułem jak lecę na wypełnioną księgami biblioteczkę. Nie wiem jak on to zrobił, ale w jednej chwili znalazł się przy mnie i podtrzymał mnie, abym nie upadł. Był silny, o wiele silniejszy niż na to wyglądał. Spojrzałem z bliska w jego oczy i nie znalazłem w nich śladu człowieczeństwa. Były szkliste i wpatrywały się we mnie niewidzącym wzrokiem. Przerazony wyrwałem się i odsunąłem w stronę kominka. Mężczyzna cały czas się uśmiechał.

– To było niepotrzebne. – jego głos brzmiał już inaczej. Było w nim coś obcego, jakby... owadziego. Tak, przypominał brzęczenie roju komarów, unoszącego się nad ofiarą w ciepły, wilgotny, letni wieczór. – Mogłeś przenocować tu i rano wrócić do miasta. Teraz musisz zostać tu z nami.

Bzyczenie nasiliło się. Teraz już nie słyszałem w nim słów. To było jak zły sen, z którego chciałem się obudzić. Sięgnąłem po pogrzebacz, stojący przy kominku i czułem ciepło dobywające się z ognia. Mężczyzna lub raczej to, co wyglądało jak on, ruszył ku mnie. Nie szedł, raczej płynął w powietrzu. Przez myśl przemknęło mi zrezygnowanie. Że może zasłużyłem sobie na to wszystko. Spojrzałem jeszcze raz w martwe oczy sunącej ku mnie postaci. Nie, nie chciałem tak ginąć. Nie chciałem zostawać w tym upiornym miejscu. Zamachnąłem się kawałkiem metalu trzymany w ręce. Ostry koniec pogrzebacza uderzył w wyciągniętą ku mnie dłoń rozdzierając skórę i zatrzymał się na czymś twardym. Istota zatrzymała się i wydała z siebie przeraźliwie przenikliwy dźwięk. Spomiędzy fałd rozciętej skóry wysunęły się różowe szcypce. Zdrętwiałem, ale każdy z was zachowałby się tak samo... Miałem przed sobą potwora... ubranego w człowieka...

Możecie myśleć, że oszalałem, że to niemożliwe. Ja też tak myślałem, póki jak niewierny Tomasz na własne oczy nie ujrziałem potworności, jakie krył w sobie ten dom. Wybiegłem z pokoju niesiony skrzydłami strachu. W progu wpadłem na kolejnego kraboczęka. Tym razem była to kobieta. Pchnąłem ją silnie na znajdujące się po przeciwnej stronie drzwi. Zamek nie wytrzymał i pokój stanął przede mną otworem. W półmroku go ogarniającym dostrzegłem kilkanaście sylwetek. W tym mgnieniu oka, na które zatrzymałem wzrok zobaczyłem wystarczająco wiele. Jak manekiny stały tam kolejne ubrania z ludzi. Czy miałem stać się jednym z nich..? Kątem oka dostrzegłem ruch za sobą. Zraniony mężczyzna otrząsnął się z bólu i zmierzał w moim kierunku. Schodami z góry spływały kolejne postaci. Niektóre z nich nie miały na sobie ludzkich ubrań. Wyglądały jak wielkie różowe kraby z wieloma parami odnóży. Nie policzyłem iloma, nie było na to czasu. Wokół czegoś, co pewnie było głową wiło się mnóstwo krótkich macek. Kilka z tych istot miało potężne, mocne skrzydła, podobne do skrzydeł nietoperza. Zastanawiam się teraz, jak udało im się chować je, gdy zakładali ludzką skórę... Nie pamiętam dokładnie, co się dalej działo. Przerażony ruszyłem do drzwi wyjściowych, ale te były zamknięte. Szarpnąłem raz, drugi – nie pomogło. Odwróciłem się. Byli wszędzie, zbliżali się powoli bzyząc cicho. Rzuciłem się do niskich drzwi pod schodami, prowadzących do piwnicy. Te na moje szczęście były otwarte. Zamknąłem je od środka i zbiegłem w dół po schodach. Pamiętam jak przez sen, jak po omacku chwytałem leżące dokoła przedmioty i rzucałem je na schody, próbując zabarykadować przejście. Kiedy ochłonąłem, wokół nie było słyhać nic. Wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności. Na półce przy schodach znalazłem kilka świeczek. Zapaliłem jedną z nich i rozejrzałem się. Tak znalazłem się tutaj. W stertach śmieci odszukałem stary zeszyt i nadłamany ołówek i zacząłem pisać. Tak, jak wspomniałem – żeby nie oszaleć, żeby nie myśleć o tych przerażających istotach, których więźniem jestem teraz.

Słyszę Ich głosy. To ciche, szeleszczące bzyczenie jest wszędzie dookoła. Próbują się tu dostać. Nie mam już świeczek, a ostatnia właśnie się dopala. Nie widzę nawet wyraźnie, co piszę. Płomień niknie, a cienie tańczą złowrogo na obszarych i zielonkawych od wilgoci ścianach. Więc tak to się kończy..? Nie dane m.....

\* \* \*

Zeszyt odnalazły dzieci na brzegu morza. Przeprowadzone dochodzenie wykazało, że rzeczywiście istniał Dan Sims, drobny sklepikarz z Portsmouth. Podejrzany o podwójne morderstwo zniknął i nikt nigdy o nim nie słyszał. Podobnie jak o starym wiktoriańskim domu zagubionym pośród wrzosowisk...

**Tomasz 'Yubi' Barański**  
**MIŁOSNIK LOVECRAFTA**

Epizod Pierwszy:

Nowy Jork, październik 1999

Brudna klatka schodowa; odpadający tynk, wulgarne, prymitywne graffiti; smród moczu. Wąski promień latarki trzymanej pod lufą służbowego rewolweru wyłowił z ciemności elegancką miedzianą cyfrę 9, przymocowaną do solidnych dębowych drzwi. Potężne kopnięcie wydobyło tylko zduszone przekleństwo z wąskich ust policjanta. Trzy strzały z rewolweru zakłóciły spokój budynku. Stróż prawa ostrożnie zajrzał do mieszkania. Ciemność. Latarka wykroiła zarys krótkiego korytarzyka i otwierający się za nim pokój. I stopy leżącego na podłodze ciała. Krąg światła zaczął lekko drżeć.

– Hej, człowieku! – w pustce domu okrzyk z zaciśniętego gardła nie zabrzmiał ani o pół tonu ciszej niż wystrzał – Cholera...

Policjant niepewnie przestąpił próg. Powoli jego oczom odsłaniało się całe pomieszczenie, z nieszczęślikiem na środku podłogi. Łydki, kolana, uda, ubrane w nienagannie czysty garnitur. A wyżej...

– O Boże...

Brzuch i tors leżącego mężczyzny były rozszarpane jakąś nieludzką siłą, resztki jego doczesnych szczątków rozwleczone, nie!, rozchłapane promieniście, przywodziły na myśl jakąś eksplozję, ale ślady potężnych, dwu-trzycentymetrowej grubości pazurów nie pozostawiały wątpliwości... Tylko włosy stawały dęba...

Zaciskając zbiegłe palce na kolbie rewolweru policjant szerokim łukiem okrążył ciało i skierował się do drzwi prowadzących do kolejnego pomieszczenia. Nacisnął klamkę i lekkim pchnięciem otworzył je na całą szerokość. Były doskonale naoliwione. Na fotelu odwróconym tyłem do drzwi ktoś siedział.

– Hej!

Znów brak odpowiedzi.

Stróż prawa wolno okrążał siedzącego, mierząc do niego cały czas. Kolejny jęk zgrozy wyrwał się z jego ust, kiedy zobaczył całą scenę. Siedzący mężczyzna kurczowo ścisnął w prawej dłoni rewolwer, a czerwona smuga zaschniętej krwi szpeciła jego skroń.

– Sierżancie? – w drzwiach pojawił się drugi funkcjonariusz.

– Nie masz czegoś mocniejszego? – spytał zbiegłymi wargami sierżant Heegan.

+++

Opowieść, którą chcę wam przedstawić, nie przypomina standardowych opowieści spod znaku Starszych Bogów. Zamiast tego proponuję historię, dzięki której gracze będą mogli zatracić granicę między prawdą a fikcją, między swoją postacią a bohaterem literackim... Jedyńm, ale kluczowym wymogiem tego scenariusza jest to, aby gracze byli dobrze odczytani w Lovecraftcie.

Scenariusz rozpoczyna się w Nowym Jorku jesienią 1999 roku. Sierżant Heegan jest tzw. Delta Green friendly. Nie jest to konieczne, równie dobrze scenariusz może być poprowadzony dla zwykłych "federalnych", bądź kogokolwiek związanego z wymiarem sprawiedliwości. Tak czy siak – sierżant Heegan pracuje w wydziale zabójstw. I jeszcze jedno, zanim przejdziemy do dalszej części historii – opisywana scena rozgrywa się w najgorszej dzielnicy Nowego Jorku. Nie znam się na topografii tego miasta – nie wiem, czy

jest to Bronx, Brooklin czy jeszcze coś innego. Może ty wiesz to lepiej.

+++

– Zaraz kogoś poślę, sierzancie – policjant odwrócił się i krzyknął w kierunku schodów – Junior! Skocz po jakiegoś kuścyczka!

Heegan stał w krótkim korytarzyku i ocierał pot z karku kraciatą chustką. Z dołu nadbiegł młody funkcjonariusz.

– Sierzancie! Tam... Na dole... Piwnica... – rozszerzone strachem oczy mówiły więcej niż słowa, które niezgrabnie starał się sklecić w jakieś sensowne zdanie. Jego przełożony zamarł na krótką chwilę z chustką przyciśniętą do szyi, po czym rzucił się po schodach w dół, wyciągając broń z kabury.

Przed wyważonymi drzwiami do jednego z serii identycznych piwnicznych boksów stało dwóch mundurowych. Na widok nadbiegającego zwierzchnika jeden z nich wskazał otwartą dłoń wewnątrz pomieszczenia.

Wewnątrz oczom sierżanta ukazało się... pogorzelisko. Wszędzie wałały się nadpalone resztki mebli, książek, ubrań. Oprócz tego wprawne oko Heegana dostrzegło kawałki kości, a także szczyrzącą zęby w martwym uśmiechu ludzką czaszkę...

+++

Sierzant Heegan rozpoczął metodyczne śledztwo. Po chwili wiedział już, że to, co dziś napotkał nie zginie wśród setek akt brutalnych morderstw. Zdecydował, że sprawa niewątpliwie zainteresuje pewnych jego przyjaciół – zajmujących się, jak wiedział, "niezbyt oczywistymi przypadkami". Nie omylił się: byli na miejscu w ciągu dwudziestu minut.

Agenci Woolf, Hunter i Babloo, pracownicy agencji rządowych – każdy innej – stanowili typową komórkę organizacji znanej jako Delta Green. O jej istnieniu wiedzieli nieliczni, i nawet ci nie mogli powiedzieć o niej więcej niż to, że istnieje. Po krótkiej rozmowie z sierżantem, zabrali się do roboty.

Teraz musisz dać graczom wolną rękę – niech dwoją się i troją zbierając dane i tworząc hipotezy. Oto garść istotnych dla opowieści faktów:

1. W mieszkaniu zameldowany był niejaki Stephen John. To on popełnił samobójstwo. Personalii drugiego człowieka nie da się ustalić.
2. Zdziwienie budzi fakt, iż mimo pożaru w piwnicy Johna, nie widać żadnych śladów temperatury w sąsiednich boksach ani na korytarzu. Nawet farba na ścianach się nie złuszczyła.
3. Stephen John był wzorowym obywatelem. Płacił regularnie podatki, nie był uwikłany w żadne sprawy o alimenty itp., po prostu ideał. Był dość bogaty, odziedziczył znaczny majątek po swoim ojcu. Był ostatnim potomkiem starego rodu szlacheckiego, mającego korzenie jeszcze na Starym Kontynencie. Podejrzane więc będzie to, iż zamieszkiwał w tak podłym miejscu.
4. Jeśli gracze będą mieli odpowiednie uprawnienia, mogą zechcieć przeanalizować rachunki telefoniczne i konto bankowe Johna. Z banku, oprócz różnego rodzaju restauracji, często przelewano znaczne sumy na konta znanych handlarzy antykami oraz domów aukcyjnych. Rachunek telefoniczny pokazuje liczne rozmowy

zagraniczne, zwłaszcza z Holandią. Nie ma jednak żadnego stałego numeru, pod który wydzwaniałby Stephen John. Po prostu stale powtarzający się numer kierunkowy do kraju tulipanów.

5. Grzebanie w pogorzelisku w piwnicy pozwoli odkryć fragmenty nadpalonych ksiąg, które odpowiedni specjaliści mogliby zidentyfikować (są to różnorakie księgi okultystyczne), a także resztki pamiętnika. Z jego stron można się dowiedzieć o "przeklętej wyprawie" oraz o "błuznierczym nefrytowym amulecie", przedstawiającym "zwierzę, przypominające jednocześnie psa i nietoperza".

6. "Landlady", tj. gospodyni domu, panna Priscilla Johnson.

+++

Gospodyni domu mieszkała na parterze. Terkotliwy dzwonek rozdarł ciszę.

– Już idę! – z wnętrza domu dobiegł piskliwy głos.

Drzwi uchyliły się na tyle, na ile pozwolił zabezpieczający je łańcuch. W szparze ukazała się zasuszona podłużna twarz otoczona wałkami papilotów.

– Panna Priscilla Johnson? NSA – Woolf machnął legitymacją – Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań.

– Jak to? Przecież przed chwilę rozmawiałam z policją! Nie możecie sobie z nimi pogadać? Ile razy można odpowiadać na te same pytania?!

– Proszę nie utrudniać – ze stoickim spokojem Woolf przerwał słowotok kobiety – To sprawa najwyższej wagi.

– Dobrze, już dobrze, przecież nic nie mówię. Co za nerwus. Kiedyś to policja była uprzejmieszka... – Potok jej gadaniny został na chwilę stłumiony drzwiami, kiedy z łoskotem zdejmowała zabezpieczenia. – Tylko dobrze wytrzyjcie nogi. Poprzedni nanieśli tonę błota! Proszę!

Ruszyła do wnętrza mieszkania. Agenci, chcąc nie chcąc, udali się za nią.

Wewnątrz unosiła się woń kotów, taniego pudru i stęchłej naftaliny. Proste meble sprawiały wrażenie, jakby pochodziły z zeszłego stulecia. Wszędzie porozstawiane, pozawieszane, popodwieszane były najróżniejsze bibeloty: wyblakłe zdjęcia, muszelki, tanie naszyjniki, zasuszone kwiaty w wazonach bez wody, pocztówki, gipsowe figurki. I koty. Zanim goście usiedli na kanapie, z której wzbity się tumany kurzu, zobaczyli ze dwanaście puchatych stworzeń, które przyglądały im się z łaskawym zainteresowaniem.

– Siadajcie, siadajcie, zaraz zrobię herbaty – odezwała się gospodyni i zanim zdążyli zaprotestować, zniknęła w głębi mieszkania. Po chwili usłyszeli staromodny gwizd czajnika i wkrótce pojawiła się z powrotem, niosąc tacę z herbatą i ciasteczkami.

– Proszę, częstujcie się – zasiadła w wyblakłym pluszowym fotelu. Jeden z kotów wskoczył jej na kolana, zaczęła go machinalnie głaskać. – Słucham.

– Proszę opowiedzieć co się dziś wydarzyło – agent Babloo skwapliwie skorzystał z możliwości przejęcia inicjatywy. To w końcu miało być przesłuchanie!

– Czy wy nie potraficie wymyślić ciekawszych pytań? Co się dziś wydarzyło? Kim był John? A kim jego kolega? Policja teraz taka bez wyobraźni! O co jeszcze chcecie spytać? Co trzymali w piwnicy? Jak żyli? NSA, policja, FBI – wszyscy tacy sami! Żadnego polotu! A żaden nie spyta, jak się dziś czuję, o nie! Trochę życzliwości, łapsy, a życie byłoby prostsze! Włażą i gadają, a żadnemu nie przyjdzie nawet do głowy

podziękować! Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść...

– Proszę przejść do rzeczy! Woli pani porozmawiać tu, czy na komisariacie? – Hunter próbował jakoś odzyskać utracony autorytet.

– Straszysz mnie, glino? Patrzcie go, jaki chojrak! Nie po to żyłam tyle lat, żeby teraz jakiś gówniarz groził mi komisariatem! To jest wolny kraj, jestem w swoim domu i żaden mundur nie będzie mi tu rozkazywał!

– Przepraszam... Proszę... Czy mogłaby pani... – jąkał się zbity z tropu agent.

– Trochę kultury, młodziki! No! – uspokoivszy się nieco panna Johnson zaczęła odpowiadać na pytanie – Rano, normalnie, jak co dzień, sprzątałam schody. Sprzątam sobie i sprzątam, pogadałam trochę z panią Leepsich i dalej myję te schody. Ale wiecie, te żule z czwartego szczają na klatce, no to musiałam iść i powiedzieć im, co o nich myślę. Nie mogę przecież całe życie ścierać czyichś szczyń z własnej klatki...

– Proszę trzymać się tematu... – to nie był rozkaz, to był błagalny szept.

– No to myję te schody i myję, to przecież pięć pięter, schodów od cholery, no i dochodzę już do parteru, kiedy nagle słyszę krzyk. Zdawałoby się – ot, krzyk, ale nie!, panowie garniturki, o nie! To nie taki krzyk, jak baba, kiedy chłop ją leje, nie! To nie taki krzyk, jak chłopaki są chcą sobie dziewczynę poobrać, o nie! To nie taki krzyk, jak się ktoś o pieniądze bije. To był taki KRZYK, że aż wiadro wypuściłam! To był taki krzyk, jakby kogo patroszyli! To był taki krzyk, jakby ktoś krzyczał ostatni raz w życiu!

No to myślę sobie, który pijaczyna tak się drze! Zaraz się wzięłam i idę na górę. A tu widzę, że ludzie przez drzwi wyglądają i na drzwi Johna wszyscy patrzą. No to pukam, pukam, muszę mu przecież powiedzieć, że nie można tak krzyczeć, że to porządna kamienica, a nie jakiś las, tu się mieszka, tu śpią dzieci, tu, kurde, życie ludzi, a one sobie takie krzyki urządzają. No i pukam i pukam, a tam cisza. Boją się, myślę, ale ja i tak ich złapę i tak dogadam, że już mi tu żaden nie krzyknie, nie pierdnie nawet! A tu nagle jak nie łupnie, jak nie huknie! Strzelił ktoś w środku! No to myślę sobie, co ja będę gardło drzeć, w umowie najmu stoi wyraźnie, że w mieszkaniu nie wolno strzelać! No to idę już na dół i do telefonu i zadzwoniłam pod 911. A ta paniusia przy telefonie zamiast mi tu kogoś przysłać, to mi się pyta, co się dzieje, czy ktoś jest ranny, czy sprawca uciekł, jak ja się nazywam, a, rozumiesz pan?, dopiero na samym końcu pyta o adres i że kogoś przyśle. Panie, trzeba tam u was w policji porządek zrobić, bo tu przecież można człowieka zamordować, zanim przyjedzie jakiś grubas w radiowozie.

– Dobrze, dobrze... Co pani wie o Stephenie Johnie?

– Nie mówiłam, nie mówiłam? Tak dokładnie pytają, jak mówiłam! John to był dobry lokator. Dziwak trochę, ale nigdy kłopotów nie sprawiał, nigdy się na nikogo nie skarżył, nigdy nikt się na niego nie skarżył.

– Nie robił nic, co wydałoby się podejrzane?

– Co mi do tego, co tam robił? Dopóki czynsz płacił regularnie i nie szczał na klatkę, nic mi do tego. Puszek! Puszek! Zostaw pana policjanta! Bardzo pana przepraszam. To taki grzeczny kotek. Ale to się da wyprać. John czasem wyjeżdżał na dłużej, nawet zdarzało się, że i dwa miesiące ich nie było, ale zawsze czek na czynsz przychodził pocztą trzeciego każdego miesiąca.

– Nie był zamieszany w handel narkotykami, nie miewał jakiś dziwnych gości?

– Nie, gdzie tam narkotyki, grzeczny był, zawsze "Dzień dobry" powiedział, uśmiechnął się, ale dziwny był – gadać nie chciał. Nie, gości żadnych nie miał. Zaraz... Miał! Dwa dni temu przyszedł tu taki jeden, co to wyglądał jakby po stronie konfederatów w wojnie secesyjnej walczył. Mały taki, zasuszony, a oczka tak mu wszystko wierciły! A jak wychodził od Johna, wiem, bo właśnie z listonoszem rozmawiałam, że mi czeku z opieki społecznej nie przynosi, cholera, trzy dni po terminie, czekam, czekam i nic! Nowy listonosz, stary Brocken poszedł na emeryturę, a ten młody pewnie listy odkleja i czeki sobie zabiera, a ja czekam i czekam i się nie doczekam. Ale staruch! Jak wychodził, tak się dziwnie spojrział, że bym go chętnie chłopcom w

trzeciego pokazała i na whiskey dała, ale się tak uśmiechnęła, że zaraz mi się zimno zrobiło, tak jakby wiedział, co ja sobie o nim myślę. No i uśmiechnął się, nic nie powiedział i poszedł sobie w cholerę. Zaraz zrobię jeszcze herbaty.

– Nie, nie, nie trzeba. My już pójdziemy...

– A proszę, proszę. Jak będziecie jeszcze coś chcieli, to przyjdźcie, nie bójcie się, znowu sobie miło pogadamy. I ucicie się chłopcy grzeczności dla starszych.

Agenci odetchnęli z ulgą, kiedy drzwi zamknęły się za nimi.

– Śmierdzisz, Babloo. Idź zmień te zaszczane spodnie.

– Ale to się da wyprać – szyderczo zapiszczał Woolf.

– Odp... się!

– He, he, he...

+++

7. Sąsiedztwo zamieszkują drobni złodziejaskowie, pijaczki, włamywacze, ćpuny, tanie dziwki. Niezbyt chętnie widzą w swojej kamienicy gliniarzy, czemu nie omieszkają dać wyraz. Są niechętnie nastawieni do składania zeznań, większość nie otworzy drzwi, udając, że nie ma ich w domu.

8. Opinia tych sąsiadów, których mimo wszystko uda się przesłuchać, o Johnie i jego współlokatorze, przedstawia się następująco:

a/ "To jakieś pedały, panie. Wszędzie razem, panie, niemal za rączki się trzymali. A jak nocą cicho! Na pewno wyciszyli sypialnię, panie. Przecież tu wszystko słychać, a u nich zawsze cisza i spokój! Trzeba było, panie, widzieć te ich uśmieszki, te spojrzenia. Tfu! Rzygać się chce!"

b/ "John? Popapraniec, jak ten jego kolega. Jak można siedzieć w takiej norze jak ta, mając ich kasę. Musieli robić tam coś zdrowo pieprzonego. Takich jak oni to od razu pod ścianę!"

c/ "Mówią, że znalazł się kiedyś odważny, który miał chrapkę na jego forszę. Począł aż znowu wyjadać i włamał się do ich mieszkania przez okno. Znalezione go trzy dni później w kanale".

Możesz dawać graczom jeszcze setki i tysiące takich faktów. Niech widzą przed sobą mnóstwo ścieżek, las możliwości. Ale niech każda ścieżka kończy się ślepo. Ten epizod ma wpędzić graczy w wir procedur policyjnych, niech dociekają, szukają śladów, tworzą hipotezy. Jedna z moich grup pojechała nawet do Holandii. Na zdrowie!

Być może gracze pochwycają trop nefrytowego amuletu. Jedyne, czym dysponują, to wzmianka w pamiętniku – samego przedmiotu nie można nigdzie odnaleźć. Niech drążą sprawę, ale niczego im nie ułatwaj. Nie wiedzą nawet jak są blisko i jednocześnie jak daleko. Zresztą na tym etapie Ty również nie wiesz jeszcze, co jest grane. Na koniec ważna uwaga. Przed poprowadzeniem tego epizodu koniecznie przeczytaj opowiadanie "Ogar" H.P. Lovecrafta.

Wygląda znajomo?

+++



## Epizod Drugi: Śmierć z Internetu

Kiedy już graczom skończą się pomysły, czas dać im znów coś do roboty. Otóż pewnego wieczora ze wszystkich mediów gruchnie wieść o ujęciu niezwykle groźnego przestępcy. Z zawodu rzeźnik, zamieszkały pod Nowym Jorkiem, niejaki Andy Tarn w swoim domu mordował, a następnie spożywał przypadkowo wybrane ofiary. Smaczku sprawie dodaje fakt, że na dysku jego komputera znaleziono kompletne archiwa najgorszych i najbardziej zdegenerowanych stron internetowych, pokazujących zbrodnię w pełnej krasie, bez żadnej cenzury ani retuszu.

+++

Mały pokój przesłuchań, stół, trzy krzesła, weneckie lustro. A za stołem Andy Tarn. Twarz nieskażona inteligencją, długie przetłuszczone włosy wpadały do pozbawionych wyrazu oczu. Andy siedział ze spuszczoną głową, nieruchomy, jak wyłączony android.

Woolf zasiadł przed nim na jednym z krzeseł.

– Andrew Tarn?

Aresztant powoli podniósł głowę, jakby budził się z transu.

– Eeee.. Andy. Taa.

– Chcielibyśmy zadać ci kilka pytań.

– Nooo?

– Hmm... Dlaczego zabijałeś ludzi?

Andy przez chwilę nie odpowiadał. Można by powiedzieć, że się namyśla, ale wyraz jego twarzy, cała postura mówiły, wręcz krzyczały coś przeciwnego. Wpatrywał się tępo w niesłychanie odległy punkt.

– Andy?

– Eee... Taa. To... tego... było fajne.

– Fajne?!

– Noo... Taa.

– Aha. Dlaczego zgrałeś na swój komputer mirrory site'ów?

– Co?

Woolf spojrzął na swoich towarzyszy. Czy on jest taki głupi, czy tak dobrze udaje? – przemknęło mu przez głowę.

– Strony internetowe. Witryny. Zdjęcia!

– A! Obrazki! Fajne, nie? – Tarn lekko się ożywił. – Krew, kurcze, obcięte ręce i nogi. Fajne!

- Podobały ci się?
- Jak se popatrze na obrazki przed roboto, to lepiej sie robi. Szytko idzie.
- Przed jaką robotą?
- No! Siekiera, piła, pistolet elektryczny.
- Robotą w rzeźni?
- W rzeźni i w domu.

Chwila ciszy.

- Dlatego je zgrałeś?
- Były jusz.
- Jak to były?
- No były od poczontku.
- Skąd masz ten komputer?
- Ten dziadek przyniós.
- Jaki dziadek?
- No ten, co przychodził.
- Jak wyglądał?
- No stary. Dziadek. Fajnie się uśmiechał.
- Kiedy był ostatnio?
- Przedwczoraj.

+++

Na te słowa powinno w głowach graczy zaświecić się czerwone ostrzegawcze światło! Ale szybko zgaś w nich nadzieję. Nie ma punktu zaczepienia, ta sprawa jest kompletna i wkrótce Tarna czeka szybki proces i surowy wyrok.

Jako pracę domową, polecam Ci, Strażniku, przeczytanie "Piekielnej ilustracji", napisanej przez wiadomo kogo. Być może dobrze znający dzieła Samotnika z Providence gracze skojarzą przedstawione wydarzenia z opowiadaniem. I bardzo dobrze!

+++

Epizod Trzeci:  
Odpowiedzi rodzą więcej pytań

Gracze będą już zapewne znużeni ciągłymi zagadkami i pytaniami bez odpowiedzi. Czas więc wytoczyć artylerię i rozpocząć frontalny atak na bastiony ich niewiary.

W nocy nad miastem przetacza się bardzo gwałtowna burza. Rzecz to niezwykła o tej porze roku, jest wszak jesień, a burze o takiej sile nawiedzają zwykle te tereny wiosną. Od samego rana media trąbią o szkodach, jakie wyrządziła nawałnica. A także o dziwnej histerii, w jaką nocą wpadli mieszkańcy Federal Hill w Providence. Tak, tak. Potomkowie włoskich emigrantów przez pół nocy palili światła i modlili się na placu przed starym, nie używanym kościołem na szczycie wzgórza.

Zanim Badacze dotrą do Providence (nie przegapią chyba tak ważnej wskazówki) znana będzie już liczba ofiar nocnej burzy. Bezpośrednio w wyniku działania nawałnicy lub pośrednio, w wyniku awarii linii przesyłowych pobliskiej elektrowni zginęła jedna osoba – niejaki Robert Blake.

Nie będę dłużej ukrywał: wydarzenia rozgrywają się według schematu przedstawionego w opowiadaniach Lovecrafta. Tym razem chyba nie miałeś, Strażniku, problemów z rozpoznaniem – chodzi o "Ducha ciemności". W tym samym czasie powinni na to wpaść Twój gracze.

Na pewno będą chcieli oni przejrzeć rzeczy Roberta Blake'a. Musisz teraz otworzyć na przedostatniej stronie wspomniane opowiadanie i przygotować dla graczy ostatnie zapiski denata. Odtwórz je dokładnie, pisząc odręcznie w całkowitej ciemności (albo z zamkniętymi oczami), na niewielkich kawałkach papieru. Wręcz zapiski graczom. Nie rób problemów, pozwól Badaczom iść do biblioteki i porównać notatki z opowiadaniem.

Wróćmy do nieszczęsnego denata. Znalaziono go siedzącego za biurkiem w wynajętym mieszkaniu na poddaszu, wpatzonego z wyrazem przerażenia w widoczny doskonale z jego okna kościół na Federal Hill. W prawej ręce ścisnął kurczowo wieczne pióro. Okno było otwarte, a jego notatki porzucane po całym pokoju. Zmarł w wyniku porażenia elektrycznego.

Jeśli gracze zechcą spenetrować kościół, odsyłam Cię do opowiadania, znajdziesz tam dokładny opis obiektu. Wskażę jedynie, czym zastana sytuacja różni się od zobrazowanej przez Mistrza.

Na podwórzu kościoła leżą wszędzie szczątki desek. Rzut oka na wieżę pozwoli się zorientować, że zniszczona. została osłona okna wychodzącego na kamienicę, w której zamieszkiwał Blake. Wnętrze kościoła jest zapuszczone, dokładnie jak w opowiadaniu, ale widać wyraźnie, że ktoś tu był przed paroma dniami. Najważniejsze jednak znajduje się na wieży. Cokolik na środku pomieszczenia jest pusty, co więcej – dokładnie wyczyszczony z kurzu. Całe pomieszczenie jest jakby wymiecione wiatrem. Brak jest doczesnych szczątków dziennikarza, o których pisze Lovecraft. Na poddaszu, wciśnięta w kąt i przykryta zbutwiałymi resztkami szmat, leży skrzyneczka z Błyszczącym Trapezodrem.

Jeśli gracze będą rozpytywać sąsiadów Blake'a, dowiedzą się, że jakieś dwa dni temu odwiedził go, a jakże, pewien zasuszony staruszek. Od dozorczy dowiedzą się, że kiedy gość opuszczał mieszkanie Roberta, na jego wargach błąkał się uśmiezek, od którego ciarki przechodziły.

I znów dajemy graczom pole do popisu. Mogą zagłębić się w bibliografii Lovecrafta, próbując związać ze sobą wszystkie napotkane przypadki. A być może odnajdą już słuszny trop, jakim jest łączący całą historię staruch. Przeróżający staruch. Jeśli nie, podrzuć im jeszcze jedną wskazówkę, jaką będzie śmierć Artura Jermyna. Szczegóły znajdziesz w opowiadaniu pod takim właśnie tytułem. Nie muszą chyba dodawać, że służba wspomni o odwiedzinach nieznanego im starca?

+++

Epizod Czwarty:  
Zapraszamy do Kingsport

Summa summarum, gracze powinni wybrać się do Kingsport, aby złożyć wizytę pewnemu starszemu panu. Może się to wydawać naciągane, ale testowałem ten scenariusz na paru grupach i każda postępowała w ten sam sposób – wyruszali do Kingsport.

+++

Słońce już zachodziło, kiedy dojechali do miasteczka. W ponurym milczeniu skierowali się na Water Street, gdzie zgodnie z tekstem opowiadania zamieszkiwał Staruch. Dzielnica zabudowana była tandetnymi, tanimi domkami z prefabrykatów. Na samym końcu ulicy, pasując do otoczenia jak pilotka do futra z norek, stał stary, zapuszczony dom. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie nie zamieszkałego. Zachwaszczony trawnik, wybite szyby na pierwszym piętrze, rozpadające się kamienne ogrodzenie. Jednak po chwili agenci dostrzegli woskowy blask sączący się z jednego z okien na parterze.

– Chyba nie zostawimy samochodu przed domem?

– Racja. Wjedź w jakąś przecznicę.

Tknięty przeczuciem agent Woolf rzucił odwracając się do swoich towarzyszy:

– Jak się nazywa ta ulica?

Odpowiedź nadeszła jednocześnie z dwóch stron. Babloo wyszukał ją w podniszczonym tomiku Lovecrafta, a Hunter odczytał z tabliczki na rogu.

– Skip Street.

– Jasna cholera. Ja nigdzie nie idę.

– Masz zamiar tu siedzieć? Przecież po to tu przyjechaliśmy.

– Jak dotąd wszystko działo się zgodnie z tekstem! Wkrótce znajdą nas w zatoce! – w głosie Woolfa wyczuć można było ślady paniki. – Zostanę w samochodzie i będę grzał silnik.

– Jak uważasz. Nie możemy cię zmuszać. Czekaj więc w pogotowiu.

Hunter i Babloo wysiedli, po czym z wahaniem skierowali się do furtki.

– Może lepiej poszukajmy jakiegoś bocznego wejścia. Cholera wie co on może zrobić.

Zawrócili i zaczęli okrążyć dom.

– Zaparkuj samochód przy bocznej furtce. – rzucił Babloo przechodząc obok Chevroleta.

Agenci cichcem weszli do ogrodu i skierowali się w stronę tylnych drzwi.

– On tam jest! – wyszeptał ze zgrozą Hunter wskazując okno. Widać było przez nie kuchenny stół, zastawiony mnóstwem różnego rodzaju i kształtu butelek. W każdej z nich znajdował się jakiś mały przedmiot, przymocowany kawałkiem sznurka do korka tak, że stanowił małe wahadełko. Nad stołem pochylał się Staruch, szeptał coś do butelek. Niektóre wahadełka drgały i podskakiwały w dziwnym tańcu. Agenci nie mogli oderwać wzroku od muszelek, kamyczków, śrubek i pestek uwieczonych w butelkach. W pewnym momencie mieszkaniowiec smętnego domostwa padniósł głowę i, nie wykazując żadnych oznak

zdziwienia, uśmiechnął się do obserwujących go przybyszów. Grymas zdobiący jego wargi przywodził na myśl zbrodnie ogarniętych żądzą złota piratów, nie znających litości ni strachu. Zapowiadał ból i cierpienie, zbrodnie i potępienie. Nie było w nim grama wesołości. Staruch odwrócił się i zniknął w drzwiach prowadzących do wnętrza domu.

– Ja od frontu, ty od tyłu! – krzyknął Hunter i rzucił się do drzwi. Otworzył je kopnięciem i wycelował broń w mrok korytarza. Nie dostrzegł nikogo. Ostrożnie przestąpił próg... i zbaraniał. Stał na zewnątrz domu! Obejrzał się. Przez wiszące w powietrzu drzwi widział ścieżkę prowadzącą do furtki, a za ogrodzeniem domy sąsiedztwa. Spróbował znów przejść przez drzwi. Tym razem za nim stało całe domostwo, ciemny korytarz celował w niego jak lufa monstrualnego działa. Przeżegnał się i znów przestąpił próg. Doszedł do furtki i ostrożnie ruszył do miasta...

W tym czasie Babloo doskoczył do tylnych drzwi. Zadziałały wyuczone w Akademii odruchy – otworzył drzwi kopnięciem. Spojrzał w zakurzony korytarz. W jego nozdrza uderzył zapach stęchlizny, starości, a gdzieś na granicy percepcji wiał się jakby ślad... krwi? Babloo otworzył drzwi prowadzące do kuchni. Nikogo. Obrzucił zaciekawionym spojrzeniem ustawione na stole butelki, ale przełamując się ruszył do drzwi, za którymi zniknął Staruch. Dostrzegł długi korytarz, a raczej galerię, gdyż na ścianach wisiały dziesiątki obrazów. Coś się nie zgadzało. Korytarz był za długi jak na ten dom! Powoli ruszył do widocznych w perspektywie drzwi, spoglądając pobieżnie na postaci obserwujące go ze ścian. Tak! One go obserwowały! Odwracały głowy, kiedy przechodził obok! Na ich twarzach pojawiały się drapieżne uśmiechy. Babloo z mrozącym krew w żyłach okrzykiem zaczął biec. O zgrozo! Im szybciej biegł, tym bardziej odległe były drzwi będące jego wybawieniem. Usłyszał ścigające go szepty portretów.

– Zostań... Zostań... Zostań z nami...

Nagle ujrzał na jednym z portretów... siebie! Z jękiem osunął się na podłogę.

Woolf przestawił auto i zaczął tępo wpatrywać się w swoich przyjaciół. Kiedy zniknęli mu z oczu, sięgnął po książkę pozostawioną na siedzeniu wozu. W miarę jak czytał, włosy podnosiły mu się na głowie. Zaklął szpetnie i wyskoczył na ulicę. Wyszarpując broń pobiegł w kierunku domostwa.

Dopadł tylnych drzwi i zajrzał do środka. Przywitała go cisza. Zaklął i ruszył przed siebie. Zajrzał do pierwszego napotkanego pokoju. Ujrzał stół zastawiony dziwnymi artefaktami zrobionymi z butelek. Podszedł do stołu i wziął jeden z nich. Muszelka wewnątrz lekko podskakiwała. Woolf z całej siły rzucił butelkę na kamienną podłogę. Równocześnie z dźwiękiem tłuczonego szkła rozległ się ledwie słyszalny okrzyk ulgi i radości. Wahadła w innych butelkach zaczęły szaleńczo podrygiwać.

– Za chwilę. Wytrzymajcie jeszcze trochę.

Skierował się do drugich drzwi w pomieszczeniu. Otworzył je ostrożnie. Za drzwiami znajdowało się niewielkie pomieszczenie, na środku którego stał bogato zdobiony, drewniany tron. W pozycji pełnej godności siedział na nim Staruch. Woolf wpatrywał się chwilę w postać, mierząc cały czas z pistoletu.

– Gdzie są moi przyjaciele? – warknął groźnie.

Na twarzy starca odmalował się nieludzki wręcz wysiłek.

– Żegnaj, Silva...

Ściany pomieszczenia zaczęły falować. Przestrzeń jakby zawijała się wokół agenta.

– Nieeee... – Pojedynczy strzał rozdarł ciszę domu. Babloo upadł na ziemię, płuca bolały go od szaleńczego biegu. Hunter wpadł na ścianę pokoju.

– Już chyba po wszystkim. – szept Woolfa brzmiał tak realnie.

Kilka uwag technicznych. Staruch stara się wciągnąć agentów w swoją chorą grę. Jest jednak bardzo słaby. Bardzo łatwo przełamać jego moc. Jak? Kluczem jest ustawienie butelek na stole. Z dusz uwięzionych ofiar czerpie siłę potrzebną do zmiany rzeczywistości. Był jednak zbyt pewny siebie. Nie zabezpieczył wzoru, w jaki były ustawione artefakty. Wystarczy przesunąć choć jeden z nich, aby moc starca zmniejszyła się. Jeśli uważasz, że Twoi gracze są na tyle sprytni i mocni, żeby wytrzymać konfrontację z magiem, możesz uczynić Starucha bardziej zapobiegliwym. Jednak nie chciałbym być wtedy w skórze agentów. Przegrana w walce oznacza przecież uwięzienie duszy na wieczność w szklanej butelce.

Po zakończeniu starcia (po pozbawieniu całej mocy – całkowitym zniszczeniu układu butelek – Staruch umrze ze starości) pozostaje wciąż otwarta sprawa uwięzionych nieszczęśników. Żadne konwencjonalne metody badania nie dadzą wyników. Są to po prostu butelki zawierające wahadelka. Dlaczego więc bo rozbiciu bądź otwarciu wydają okrzyk radości? Słyszalny tylko przez ludzi, tj. nierejestrowalny na taśmach? Pozostaje wierzyć w pisma Lovecrafta...

**Marcin 'Seji' Segit**  
**SNY**

Noc. Czas spokoju i przemocy. Czas snu, złych ludzi oraz mocy, które lepiej niech pozostaną nie nazwane. Lęk przychodzi o zmroku i odchodzi wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. Boi się każdy, niezależnie od tego, co na ten temat mówi. W każdym z nas jest zasiany strach. Strach przed nieznanym, przed przeznaczeniem, przed śmiercią. Czasami zapominamy o nim, a kiedy indziej lęk paraliżuje nasze ruchy i myśli. Odbiera swobodę działania. Wtedy ogarnia nas jedno pragnienie: uciec jak najdalej, uwolnić się od tego uczucia. A to wszystko dlatego, aby nie odkryć, czego się boimy. Nikt nie lubi stawać twarzą w twarz z własnymi lękami i koszmarami. Mogą to być zwykłe rzeczy: cień poruszanej wiatrem zasłony, obudzony w gnieździe ptak, szum wiatru. Lecz są jeszcze inne przyczyny: nocny krzyk przeszywający mroczną ciszę, przytłumione, powolne kroki dochodzące z dachu, dźwięki nie dające się w żaden sposób przyporządkować ludziom bądź zwierzętom lub też myśli przywołujące zdarzenia, o których chcielibyśmy zapomnieć.

Ja jednak nie zapomnę tego, co wydarzyło się pewnej jesieni. Tych dni nigdy nie uda mi się wymazać z pamięci, a ich cień wciąż będzie podążał za mną aż do śmierci, która mam nadzieję przyjdzie niebawem i uwolni mnie od tych wspomnień – na zawsze. Zanim jednak umrę, chciałbym pozostawić innym przestrożę przed mocami, z którymi lepiej się nie zadawać. Dlatego właśnie pisuję to, co mi się przydarzyło...

\*

*Z notatek...*

Wszystko zaczęło się pewnej deszczowej nocy. Chcąc odprężyć się po całodziennej pracy, postanowiłem poczytać przed snem książkę. Wziąłem pierwszą z brzegu, otworzyłem na środku i zagłębiłem się w lekturze. Była to praca jakiegoś naukowca – czy może raczej szarlatana – traktująca o telepatii, jasnowidzeniu i tym podobnych bzdurach, które uznawałem za bajki i wytwory chorej wyobraźni szaleńców. Coś, czego nie dawało się fizycznie zmierzyć, nie istniało dla mnie. Rozdział, który zacząłem czytać, mówił o powiązaniach snu ze światem realnym: jasnowidzenie śniących, przekazy myśli, odwiedzanie we śnie odległych miejsc. Po kilku minutach wywody te zaczęły mnie nudzić, lecz z jakiegoś powodu nie odłożyłem książki. W końcu odniosłem wrażenie, że znalazłem, to czego szukałem. Był to ustęp o więzi, jaka podobno łączy ludzi śniących ze światem zmarłych; o tym, że ci, którzy odeszli, mogą dzięki naszym snom przekazywać żywym wiadomości. Są to najczęściej ostrzeżenia przed prowadzeniem złego stylu życia, konieczności usatkwowania się i tak dalej. Czasami, według autora, zmarli proszą nas o pomoc w sprawach, w których sami nie mogą sobie poradzić, np.: oczyszczenie z niesłusznie postawionych zarzutów, spłatę długu lub zmianę miejsca pochówku.

Kiedy tylko przeczytałem ten fragment, poczułem ogarniająca mnie senność. Zgasilem światło i pogrążyłem się w cichej, spokojnej ciemności.

Zazwyczaj nie miewam snów. Lub też po prostu nie pamiętam ich. Jeśli mam sen, to jego treść stanowią najczęściej wspomnienia różnych sytuacji, w których się kiedyś znalazłem. Zazwyczaj jednak nie śnię. Ale nie czuję się z tego powodu pokrzywdzony, choć podobno brak marzeń sennych cechuje osoby o małej wyobraźni, które całą uwagę poświęcają problemom dnia codziennego.

Tym razem było inaczej. Gdy tylko wkroczyłem do krainy Morfeusza, zacząłem dostrzegać powoli formujące się obrazy. Towarzyszyła temu zjawisku muzyka odgrywana na dzwonach – dziwna i bardzo spokojna ale jednocześnie ponura, wywołująca przejmujące uczucie lęku. Ja sam wchodziłem po wysokich, skrzypiących, drewnianych schodach, coraz bardziej zbliżając się do wirujących barwnych plam, powoli formujących rozmazane kształty ponad moją głowę. Kiedy dotarłem na szczyt schodów, plamy zaczęły tracić kolory, stawały się mroczne, ciemniały, lecz wciąż mogłem rozróżnić pojedyncze barwy. Łączenie się plam i przyjmowanie przez nie jednej formy zaczęło przebiegać teraz szybciej. Jednak co chwilę pląty czerni – tak, wszystkie kolory przemieniły się w gęstą, aksamitną czerń – zlewały się ze sobą tworząc najróżniejsze

kszały, jak gdyby nie mogły dojść do zgody, co mają stworzyć. Ostatecznie ułożyły się w sylwetkę człowieka ubranego w długie, powłóczyste szaty. W czasie, gdy ja stałem na platformie wieńczącej schody, on zdawał się unosić w tym, co wypełniało krainę snu. Jakby płynął nad mrocznymi chmurami sennych mar. Nie widziałem jego twarzy, gdyż nie było tu żadnego źródła światła skierowanego na tę tajemniczą postać. Kiedy formowanie dobiegło końca, dzwony zamilkły. Zapanowała cisza zwiastująca oczekiwanie...

Nagle po mojej prawej stronie pojawił się snop światła, który zaczął przybliżać się zmierzając do oświetlenia mrocznej sylwetki stojącej naprzeciw mnie. Powoli z mroku zaczęły wyłaniać się wyraźne kontury jej stroju. Pierwsze co przyszło mi do głowy, gdy zobaczyłem granatową, sięgającą stóp sylwetki szatę, było nieodparte wrażenie, iż osoba ta musi być jakimś kapłanem. Nie wiem, dlaczego tak pomyślałem. Światło w dalszym ciągu ujawniało wygląd nieznanego. W końcu ujrzałem go. Wyraźnie. Zalanego światłem. Całego, za wyjątkiem twarzy, którą skrywał cień rzucony przez naciągnięty głęboko na oczy kaptur. Dostrzec można było jedynie niewyraźną linię ust. Mogłem teraz dokładnie stwierdzić, kogo spotkałem w moim śnie: był to, sądząc z budowy ciała, mężczyzna ubrany w długą, granatową tunikę przywodzącą na myśl stój kapłański. Byliśmy mniej więcej równego wzrostu. Wyczuwałem płynącą od niego siłę, nie dającą się opisać uczucie własnej wyższości oraz coś co wywoływało lęk: pierwotną, niepojętą moc, której potęgi umysł ludzki nie byłby w stanie ogarnąć i zrozumieć. Przez jakiś czas staliśmy tak na przeciw siebie nie wykonując żadnych ruchów. W pewnej chwili że jego usta rozwarły się, jakby w przygotowaniu do wydania jakiegoś dźwięku. Lecz nic takiego nie nastąpiło. Usta poruszały się powoli, najwyraźniej starając się przekazać mi jakąś wiadomość, lecz żaden dźwięk nie naruszył panującej ciszy. Trwało to przez jakiś czas – nie wiem dokładnie ile. Mogła być to zarówno minuta, jak i godzina. Ja stałem w miejscu niczym zahipnotyzowany i wpatrywałem się w stojącą przede mną postać. Wreszcie "kapłan" najwyraźniej zrezygnował z chęci porozumienia się ze mną, i zaczął zbierać się do odejścia – po prostu poczynając od stóp zaczął się rozmywać. W tym momencie nastąpiło coś, czego chyba nie zapomnę do końca, mam nadzieję, że już niezbyt długiego, życia. Snop światła oświetlający nas do tej pory z boku, przeniknął przeze mnie i podpłynął do znikającej postaci oświetlając jej twarz! W trupiobladej poświacie bijącej od tajemniczego reflektora ujrzałem upiorny widok: mój niedoszły rozmówca nie posiadał czegoś, co można by nazwać twarzą! Jej miejsce zajmowała czaszka obciążona cienką, suchą i pomarszczoną skórą. Oczodoły ziały pustką, a suche wargi odsłaniały pożółkłe ze starości zęby zaciśnięte w wiecznym grymasie. Zacząłem krzyczeć.

W tym właśnie momencie obudziłem się krzycząc na cały głos. W panice zacząłem szukać wyłącznika lampki nocnej. Gdy go znalazłem, natychmiast wcisnąłem, rozświetlając pokój jasną barwą spokojnego, niosącego wybawienie elektrycznego światła. Spojrzałem na zegar. Było dwadzieścia po czwartej rano. Tej nocy już nie zmrużyłem oka.

Jak już wspomniałem, niezmiernie rzadko coś mi się śni. Są to – o ile uda mi się je zapamiętać – sny spokojne, przywołujące dawne zdarzenia i sytuacje, w których się znalazłem. Koszmarów zaś nie miałem nigdy. Aż do tej pory.

Obudziwszy się, przesiadziałem na łóżku cztery godziny, starając nie myśleć o tym, co zobaczyłem we śnie. Jednak nie było to łatwe. Ciągłe w mych myślach pojawiała się straszna wizja z mego snu: czaszka obciążona wiekową skórą, twarz pozbawiona oczu, pozbawiona życia. A jednak postać, którą spotkałem we śnie była żywa! Próbowwała coś mi powiedzieć, lecz z jakichś nieznanych mi przyczyn nie mogła zrealizować swoich zamierzeń.

Nadejście dnia powitałem z ulgą. Oświetlony przez pierwsze promienie słońca wpadające przez okno do mojego pokoju, powoli uspakajałem się. Wtedy mój wzrok padł na leżącą na podłodze książkę, którą czytałem poprzedniego wieczoru. W nocy musiała spaść z łóżka. Podniosłem ją. Była otwarta na rozdziale dotyczącym koszmarów sennych i ich związku z osobistymi lękami śniącego. Zaczęły mi drżeć ręce. To ta książka spowodowała moje nocne przeżycia! – pomyślałem. Gdybym jej nie czytał, nie miałbym najprawdopodobniej żadnego snu. Zdenerwowany poszedłem z nią do salonu i wrzuciłem do kominka. Choć w domu było ciepło – rok temu zainstalowano centralne ogrzewanie – rozpałem ogień i przez jakiś czas patrzyłem, jak białe strony czernieją w płomieniach i zamieniają się w popiół. Trochę mi to pomogło. Następnie zjadłem śniadanie i postanowiłem dla odprężenia spacerować się po mieście.



Jesień w regionie, w którym mieszkam bywa różna: może być ciepła i sucha, łagodnie przygotowująca nas na przyjście zimy, lecz może być również zimna i deszczowa, działająca na wszystkich przygnębiająco i zmuszająca do rozmyślań nad sobą. Taka właśnie była w tym roku. Zimna, mokra, atakująca wszystkich lodowatym wiatrem, który przedzierał się przez najgrubsze nawet ubranie, wywołując dreszcze.

Postawiłem kołnierz i nałożyłem kapelusz. Wprawdzie nie padało, lecz wiał zimny wiatr, zawodzący w szczelinach murów i przeciskający się przez najlepiej uszczelnione okna. Czułem, że niesie on ze sobą jakieś uczucie nieokreślonego i irracjonalnego niepokoju, lecz przypisałem to nocnym przeżyciom. Wciąż bowiem byłem wstrząśnięty tym, co ujrzałem we śnie. Wyszedłem na ulicę i skierowałem się w stronę niewielkiego placu znajdującego się niedaleko od mojego domu.

Lubiłem to miejsce. Tam bowiem znajdowało się kilka sklepów z ulubionym przedmiotem moich zainteresowań – książkami. Wokół placu, na którego środku była niewielka fontanna, stało sześć czy siedem sklepów, z których cztery sprzedawały głównie książki. Była tam księgarnia techniczna zaopatrująca przede wszystkim inżynierów, księgarnia medyczna odwiedzana przez lekarzy i aptekarzy i księgarnia "dla wszystkich" sprzedająca książki o najróżniejszych tematyce – od dziecięcych, poprzez książki dla młodzieży i literaturę przybliżającą najnowsze osiągnięcia nauki i techniki, do dzieł autorów takich jak Homer czy Kartezjusz. Ostatnim z najbardziej interesujących mnie sklepów był antykwariat. Lubiłem tam przychodzić od czasu, jak tylko nauczyłem się w miarę poprawnie czytać. Siedząc otoczony drobinami kurzu i zapachem skóry przeglądałem pożółkłe ze starości woluminy, starając się jednocześnie zrozumieć jak najwięcej z ich treści.

Mimo, iż była niedziela, zdecydowałem się zajrzeć do antykwariatu choćby przez szybę, gdyż od ponad miesiąca nie byłem tam. Przez jakiś czas szedłem ulicą samotnie, zmagając się z przybierającym na sile wiatrem. Dopiero dwie przecznice od mojego domu zobaczyłem pierwszych przechodniów. Wszyscy spieszyli się gdzieś i nie zwracali na siebie uwagi, mając myśli zajęte swoimi sprawami. Zauważyłem jednak, że ci, którzy mnie mijali, uważnie przyglądali mi się, a na ich twarzach malował się bezgraniczny strach. Nie wiedziałem, jak się zachować, więc szedłem dalej, starając się omijać wszystkie napotkane osoby. Nagle mocniejszy powiew wiatru strącił mi z głowy kapelusz. Chcąc założyć go w miarę prosto, przystanąłem przy jednej z wystaw mijanych sklepów. Spojrzałem, na swoje odbicie i ziemia w tym momencie usunęła mi się spod nóg. W odbiciu nie zobaczyłem siebie, lecz ów potworny obraz z mojego snu: bladą czaszkę obciążoną przezroczystą skórą. Potem straciłem przytomność.

Ocuciły mnie pierwsze strugi deszczu. Powoli wstałem i z lękiem spojrzałem w szybę wystawową. Nie ujrzałem w niej jednak nic poza swoim odbiciem. Stwierdziłem, że jestem blady i trzęsę się, nie wiadomo czy z zimna, czy też ze strachu. Na szczęście to, co ujrzałem wcześniej w szybie, było tylko złudzeniem – pomyślałem. Otrzeptałem płaszcz i zawróciłem w kierunku domu. Sądziłem, że jest to jedyne bezpieczne miejsce. Nie wiedziałem wówczas, jak bardzo się myliłem.

Na progu domu znalazłem poranne wydanie lokalnej gazety. Wziąłem ją i wszedłem do środka. Skierowałem swoje kroki do salonu. Rozpaliłem ponownie ogień w kominku, usiadłem w fotelu i zacząłem czytać gazetę. Tak jak się spodziewałem, nie znalazłem w niej nic ciekawego. Nic, za wyjątkiem artykułu na czwartej stronie, na której od kilku miesięcy mieścił się dział przypominający historię miasta. Wydarzenia, o których mówił artykuł, miały miejsce kilkadziesiąt lat temu. Ponieważ przez ponad dwadzieścia lat przebywałem za granicą, zaciekało mnie to. Zdziwiony byłem również, że nikt mi o tym wcześniej nie mówił. Ale przejdźmy do rzeczy. Kilkadziesiąt lat temu pewien imigrant z Rosji, Borys Gajdar, zaczął nawoływać ludzi do stworzenia Wspólnoty, w której jakakolwiek kontrola jednostki sprawowana przez organy wyższe, takie jak rząd czy parlament nie istniała by. Nawoływał do lekceważenia różnych ustaw, gdyż, jak mówił, to wszystko ogranicza wolę człowieka, która powinna pozostać wolna, tak jak ją uczynił Bóg. Wielu ludzi podążyło za jego wołaniem. Początkowo lekceważąc jedynie normy obyczajowe. Następnie jednak zaczęli lekceważyć prawo, co doprowadziło do licznych konfliktów z policją. Jednak to nie było wszystko. Po dłuższym czasie swojej działalności Gajdar stwierdził, że jakoby posiada moc, dzięki której z boskiego nakazu ma wyrwać ludzi spod kontroli rządu. Moc ta miała polegać na zdolności uzdrawiania oraz oczyszczania umysłów ludzi z "głupich i niepotrzebnych praw narzuconych przez władze miasta i kraju". Gajdar twierdził, że jego moc nie jest niewyczerpana i dlatego musi ją uzupełniać. Mówił, że najlepiej czerpie

się ją z dzieci, gdyż "nie są one jeszcze skażone nakazami ograniczającymi ich wolność". "Kapłan" urządził sobie "salę modłów" w podziemiach, które podobno rozciągają się pod całym miastem i prowadzą do wszystkich domów, które zbudowano w zeszłym stuleciu. Podziemia te miały pełnić rolę schronienia na wypadek wojny lub klęski żywiołowej. Co wieczór przyprowadzał do swej kryjówki grupkę dzieci. Kiedy następnego dnia rodzice chcieli je zabrać do domów, mówił, iż są wyczerpane procesem przekazywania mocy i zapadły w głęboki sen, z którego obudzą się dopiero po kilku dniach. Trwało to przez tydzień. Po tym czasie rodzice zaczęli domagać się powrotu dzieci. Gajdarowi udało się ich uspokoić obietnicą, że następnego dnia dzieci wrócą do domów. Tak się jednak nie stało. Rosjanina złapano w czasie, gdy cichaczem opuszczał miasto. Zmuszono go do zaprowadzenia policji do kryjówki. Do podziemia zeszło wraz z nim trzech policjantów i dwóch ojców. Wyszły tylko trzy osoby, w tym jedna postarzona w ciągu pięciu minut o kilkadziesiąt lat. Według ich relacji, zaraz po zejściu schodami na dół, Gajdar rzucił się na jednego policjanta z nożem trafiając go prosto w serce. W tym momencie starszy wiekiem inspektor dostał zawału. Trzeciemu z policjantów udało się obezwładnić napastnika. Podobno wtedy Gajdar rzucił się na wbite w podłogę stalowe pręty podtrzymujące ołtarz i zginął na miejscu. Pozostała trójka szybko opuściła pomieszczenie. Na powierzchni zauważyli, że jeden z towarzyszących im mężczyzn posiwiął. Policjant zablokował drzwi prowadzące na dół i, nie wyjaśniając dlaczego, kazał szybko zamurować wejście. Jako przyczynę nagłego postarzenia się jednego z mężczyzn lekarz uznał "nagły szok wywołany gwałtownymi przeżyciami przekraczającymi odporność psychiczną badanego". Żadna osoba z tej trójki nigdy już więcej nie chciała rozmawiać o tej sprawie. Nigdy też nikt nie dowiedział się, co tak naprawdę wydarzyło się w podziemiu. Nigdy też nie odnaleziono zaginionych dzieci.

Kiedy już przeczytałem gazetę, zaczęła ogarniać mnie ogromna senność. Chwilę walczyłem z tym uczuciem pamiętny snów z minionej nocy, lecz w końcu uległem. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem przed zapadnięciem w sen, był zegar. Wskazywał dziesiątą rano. Przez głowę przemknęła mi myśl, że jest za wcześnie na sen...

Znów to widziałem! Ten sam obraz, co poprzednio! Wysokie, drewniane schody prowadzące jakby do nikąd... Lecz tym razem wiedziałem, co znajdę na górze. Opierałem się. Mimo to coś kazało mi wchodzić po schodach, podążać na ponowne spotkanie z Koszmarem. Jednak pewne szczegóły uległy zmianie w porównaniu z poprzednim snem: nie było słychać upiornej muzyki wygrywanej na dzwonach. Panowała cisza przerywana jedynie skrzypieniem schodów, po których wchodziłem. Powoli z ciemności zaczynał wyłaniać się szczyt wieży, lecz nie dostrzegłem nad sobą bezkształtnych plam. To COŚ już tam na mnie czekało!

Dotarłem na górę. Jak poprzednio pojawił się snop światła, który wydobył z ciemności mnie oraz "Kapłana". Tym razem światło trzymało się z daleka, tak jakby nie chciało popełnić drugi raz tego samego błędu. I znowu, tak jak poprzednio, wargi nieznanego zaczęły się poruszać, lecz tym razem słyszałem, co chciały mi przekazać! Głos nieznanego był zimny, mroczny, poruszał każdym nerwem mojego ciała (o ile można tak nazwać uczucie, które towarzyszyło mi we śnie). Jeszcze długo potem, gdy wydarzenia te odeszły w przeszłość, słyszałem ten głos i pierwsze słowa mojego przerażającego rozmówcy:

*"Żywa istoto! Człowieku podległy Śmierci! Zostałeś tu wezwany, aby dopomóc mi wypełnić moją świętą misję. Wiele lat byłem uwięziony, lecz czas się dopełnił. Powrócę, aby głosić Słowo Wolności, a ty będziesz narzędziem w moich rękach, które uwolni mnie i poprowadzi do wiecznej chwaly w imię Pana!"*

W tym momencie postać zaczęła znikać, stawać się przezroczystą. Ja sam stałem jak sparaliżowany nie mogąc się ruszyć. Nagle usłyszałem trzask. Schody pode mną zaczęły rozpadać się! W następnej sekundzie leciałem w dół w niezmierną otchłań strachu i ciemności.

Obudził mnie mój własny krzyk. Siedziałem na fotelu w salonie. Zegar wskazywał trzecią po południu. Moje senne przeżycia trwały więc dłużej niż mogłem przypuszczać. Bolała mnie głowa. Powoli wstałem i nagle usłyszałem trzask. Przerażony, mało nie straciłem przytomności po raz drugi raz dnia. Trzask przypomniał mi rozpadające się schody. Myślałem, że cały dom zaraz runie mi na głowę. Nic takiego się jednak nie stało. To na dworze złamała się gałąź starego wiązu. Na zewnątrz szalała burza.

Poszedłem do kuchni. Wziąłem dwie aspiryny i napiłem się kawy. Przez następną godzinę piłem filiżankę czarnego, odpędzającego sen płynu, za filiżanką. Postanowiłem nie spać przez najbliższe dwa, trzy dni.

Miałem nadzieję, że może po tym czasie koszmar opuści mnie...na zawsze.

Podobno przed przeznaczeniem nie ma ucieczki. Można jedynie swoimi czynami zmienić najbliższą przyszłość. Lecz celu, wyznaczonego każdemu człowiekowi przez siły wyższe, nie zmienić nie można. Można starać się oddalić od niego, okrążyć go, wyminąć. On jednak zawsze będzie przybliżał się, aż nadejdzie chwila, w której życiowa misja każdego człowieka zostanie wypełniona. Takim głównym celem w życiu większości z nas jest śmierć, lecz niektórzy mają ważniejsze zadania do spełnienia: ich misją jest praca nad poprawą losu całej ludzkości, stawanie się męczennikami lub świętymi lub inne doniosłe cele. Ja sam kiedyś pragnąłem wybić się ponad tych zwykłych, zmierzających ku ostatecznemu końcu, niezauważanych ludzi. Jednak po wydarzeniach, o których piszę, zmieniłem zdanie. Poznałem misję, jaką miałem wypełnić, i zacząłem żałować, że przeznaczenie wybrało właśnie mnie.

Po wypiciu kilkunastu filiżanek kawy i powzięciu decyzji o zerwaniu na kilka dni ze snem, udałem się do mojego przyjaciela – aptekarza. Chciałem pożyczyć od niego kilka paczek kawy – uwielbiał ten napój i zawsze miał go nieprzebrane zapasy – i poprosić go o jakieś środki wzmacniające – a wszystko po to, aby uwolnić się od prześladowającego mnie koszmaru.

Ulice były ciche, spowite mgłą. Kiedy szedłem, przez chwilę poczułem, jakbym był w innym miejscu, takim, którego nie znam. Jednak uczucie to szybko mnie opuściło. Idąc, przezornie nie oglądałem wystaw sklepowych i unikałem spoglądania w każdą powierzchnię, która dawała w miarę wyraźne odbicie. Nie chciałem ponownie ujrzeć twarzy upiora z mojego snu.

Po jakimś czasie dotarłem do domu mojego przyjaciela. Ponieważ na stukanie do drzwi nikt nie odpowiadał, udałem się do prowadzonej przez niego apteki. Miał on bowiem zwyczaj pracowania nawet w dni wolne i święta. "To tak na wszelki wypadek" – mówił. "Lekarza wzywa się do nagłych wypadków, tak więc może komuś potrzebne nagle będą leki?". Sklep był otwarty. Przekraczając próg poczułem się, jakbym wstępował do innego, oddalonego w czasie świata. Za ladą ujrzałem – zamiast mojego znajomego – młodego człowieka ubranego w niemodne dziś ubranie, który powitał mnie słowami: "Witam szanownego pana. Czego szanowny pan potrzebuje?" Skąd on wziął takiego asystenta? – pomyślałem. Zawsze twierdził, że w swojej aptece pracować będzie tylko on i nikogo więcej do niej nie wpuści. Strój i sposób mówienia tego młodego człowieka wydały mi się dziwne, gdyż wszystko wskazywało na to, iż nowy asystent mojego przyjaciela został żywcem wyrwany z jakiejś powieści z końca ubiegłego stulecia.

Skinąłem głową w odpowiedzi i poprosiłem o opakowanie środka wzmacniającego. Kiedy wyjąłem kilka banknotów, chcąc zapłacić, sprzedawca powiedział, że to za dużo i wziął tylko jeden z nich. Następnie wydał mi sporą resztę. Opuściłem aptekę zastanawiając się, czy to ceny lekarstw spadły, czy też ja tracę powoli wzrok, gdyż nie mogę rozpoznać poszczególnych nominałów.

Wróciłem do domu. Od razu wziąłem dawkę kupionego przed kilkunastoma minutami środka i zaparzyłem dzbanek kawy. Obok dzbanka położyłem na stole nóż i zestaw środków opatrunkowych. Gdyby nawet kawa nie mogła odpędzić ode mnie snu, będę nacinał skórę na rękach, mając nadzieję, że ból pomoże mi pozostać przytomnym.

Kiedy kofeina zawarta w jednej filiżance kawy przestawała działać, wypijałem kolejną. I tak na okrągło przez kilkanaście godzin. Jednak po jakimś czasie stwierdziłem, że mój organizm powoli zaczyna uodparniać się na działanie kofeiny. Zmęczenie i senność coraz ciśnień zaczęły oplatać mój umysł. Spojrzałem na nóż leżący na stole. Zacząłem myśleć, czy byłbym zdolny do dokonania tak okropnego czynu. Uczucie senności zaczęło ogarniać mnie coraz bardziej. Siłując się ze sobą wyciągnąłem rękę w kierunku narzędzia, dzięki któremu miałem nadzieję pozostać przytomnym. Zaciśnąłem palce na rękojeści. W tym momencie zasnąłem. Kątem oka zobaczyłem jeszcze przewracający się dzbanek z resztkami kawy i rozlewający się po stole ciemny płyn.

Biegłem. Coś zmuszało mnie do szaleńczego biegu. Znałem te ulice. To było moje miasto. Wyglądało jednak inaczej niż zwykle. Budynki były jakby młodsze, nie zniszczone upływem czasu. W oddali dostrzegłem

przejeżdżający samochód dość starego typu. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy ktoś w moim mieście posiadał podobny pojazd. Nagle otoczenie zaczęło się zmieniać. Jakby znikąd pojawiły się gęste, mlecznobiałe pasma mgły, które po chwili skryły wszystko dookoła. Widziałem tylko drogę przed sobą. Próbowałem zatrzymać się, lecz jakaś siła nie pozwalała mi na to. Musiałem biec ku nieznanemu celowi. Trasa mojego biegu, która prawie cały czas prowadziła prosto, nagle skrzyła. Moim oczom ukazał się dom, otoczony ogrodem, odgradzony od ulicy czerwonym, ceglany płotem. Stałem przed bramą, która po chwili otworzyła się, pozwalając mi wejść na teren posiadłości. Przez głowę przemknęła mi myśl, że znam ten dom, jego otoczenie i umiejscowienie, lecz nic konkretnego nie byłem w stanie sobie przypomnieć. Czując, że nie mam innego wyjścia, ruszyłem naprzód. Za sobą usłyszałem szczęk. To brama zatrzasnęła się odcinając mi drogę wyjścia. Ruszyłem powoli w kierunku domu. Po chwili stanąłem przed drewnianymi, okutymi mosiądzem drzwiami. Z niewiadomych przyczyn wiedziałem, że były otwarte, a ja muszę wejść do środka. Nacisnąłem klamkę...

Obudziłem się zlany potem, ciężko oddychając, jakbym rzeczywiście biegał przez dłuższy czas. Zza okna dochodził mnie gwar rozmów. To one wyrwały mnie z tego dziwnego snu. Kiedy ochłonałem, uśmiechnąłem się. Chyba udało mi się w końcu uwolnić od tego okropnego człowieka nawiedzającego mnie w snach. Spojrzałem na zegarek. Ten jednak nie działał. Przeniósłem wzrok na zegar stojący na półce, lecz ku mojemu zdumieniu on również stanął. Tknięty jakimś przecuciem zacząłem chodzić po całym domu i sprawdzać zegary. Żaden z nich nie działał! Wszystkie zatrzymały się na tej samej godzinie: dwadzieścia po dziesiątej. Nie wiedziałem jednak, czy była to dziesiąta rano czy też w nocy, tak więc nie mogłem określić, jak długo spałem. Za oknem świeciło słońce. Postanowiłem więc wyjść z domu i spytać się kogoś, która jest teraz godzina oraz jaki dzień mamy.

Zamknąłem drzwi na klucz i zdecydowałem się przejść na rynek i sprawdzić, czy działa zegar na wieży ratuszowej. Jednak kiedy tylko wyszedłem za bramę, dostrzegłem tłum ludzi podążających w stronę niewielkiego placu położonego przy parku. Moje próby nawiązania rozmowy z kimkolwiek z nich spęły na niczym. Ludzie ci zachowywali się, jakby byli w transie. Nie reagowali na żadne zaczepki z mojej strony. Ponadto ich ubrania były dziwne. Prezentowały styl nieobecny w modzie już co najmniej od trzydziestu lat. Nagle czyjeś ręce wciągnęły mnie w środek tego pochodu. Zostałem zmuszony podążyć razem ze wszystkimi. Tak jak się tego domyśliłem wcześniej, po kilkunastu minutach dotarliśmy na przyparkowy plac.

Gdy doszliśmy do celu, pochód uspokoił się, ucichły głosy. Wszyscy w skupieniu wpatrywali się na niewielkie podwyższenie ustawione w centrum placu. Po chwili pojawił się na nim jakiś mężczyzna. Nie miałem wtedy pod ręką lustra, aby to sprawdzić, lecz podejrzewam, że zbladłem wówczas ze strachu. Mężczyzna ów był identycznej postury i nosił takie same szaty, jak zjawa z mojego snu. Lecz zamiast gołej czaszki, posiadał normalną ludzką twarz. Jednak moje odczucia były takie same jak podczas pamiętnego koszmaru. Od tego mężczyzny biła aura wyższości, a kiedy odezwał się, w jego głosie wyczułem nutę olbrzymiej zaciętości i nieugiętości. Prawdziwego fanatyzmu. Gdzieś w dali zaczęły bić dzwony. Mężczyzna odezwał się do zebranych w te słowa:

*"Bracia! Nasza Wspólnota, mimo wszelkich przeciwności, nadal istnieje! Niedługo wszyscy osiągniemy nasz cel, którym jest życie bez żadnych nakazów i praw ograniczających wolną wolę człowieka. Wolę, którą człowiek otrzymał od Boga, i którą w jego imieniu wykorzystywał do wybierania drogi postępowania. Godzina prawdy wybiła! Dzisiaj wszystko się dopełni i nasze dusze zostaną uwolnione spod jarzma tych, którzy uważają się za stojących wyżej nad inne dzieci Boga!"*

W tym momencie wszystko wokół mnie zaczęło się rozmywać. Ponownie znalazłem się na szczycie wysokich schodów i ujrzałem przed sobą postać ubrana w długą szatę kapłańską. Tym razem jednak to nie był sen! Czułem powiew powietrza na twarzy, mogłem dotknąć desek pod moimi stopami. Jednak postać stojąca przede mną wciąż wydawała mi się równie niematerialna jak podczas pierwszego spotkania.

"Kapłan" zdjął z głowy kaptur. Wiedziałem, co zobaczę i myślałem, że tym razem jestem na to przygotowany. Jednak ponownie strach zawładnął mną i ledwo powstrzymałem się od rzucenia z tej wysokiej platformy w dół ciemnej otchłani niosącej wybawienie od tego koszmaru.

"Śmiertelniku!" – głos, który wydobył się z suchej, pomarszczonej krtani przeszył mnie zimnem i wywołał dreszcze na całym ciele, lecz jakaś siła powstrzymywała mnie przed wykonaniem jakiegokolwiek ruchu – mogłem tylko słuchać. – *"Mój czas nadszedł! Jam jest odkupieniem, a tyś moim Heroldem, Wyzwolicielem! Wypełnisz swą misję dla chwały mojej i chwały Pana, a zasłużysz na odkupienie!"* – w tym momencie upiorna postać podeszła do mnie. Spod habitu wyłoniła się koścista ręka obciążona żółtą, pomarszczoną skórą i dotknęła mojego czoła. Gdybym nie był sparaliżowany strachem, najprawdopodobniej zwymiotowałbym na koszmar stojący przede mną. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, był obraz jakichś drzwi...

Nie wiem, jak długo leżałem nieprzytomny. Ocknąłem się na podłodze mojego pokoju, koło kominka. Kiedy próbowałem wstać, poczułem ostry ból głowy, jakby ktoś raz za razem wbijał mi igłę w mózg. Zebrałem wszystkie siły, podniosłem się i powoli podszedłem do okna. Cały świat za szybą był spowity szarą, gęstą mgłą. Nagle wewnątrz mnie rozległ się głos każący mi zejść do składziku i wziąć kilof. Próbowałem się temu przeciwstawić. Bezskutecznie. Wziąłem więc kilof i pchany wewnętrznym rozkazem wyszedłem na ulicę. Moje nogi same poderwały się do biegu. Ruszyłem w mgłę, która rozstępowała się przede mną tworząc korytarz o mlecznobiałych ścianach. Nagle doznałem olśnienia! To właśnie śniło mi się ostatnio. Te same ulice, tak samo gęsta mgła, szybki bieg ku nieznanemu... Teraz jednak znałem cel tej "wycieczki". Był nim dziwny dom otoczony ceglany murem.

Droga skręciła i ujrzałem przed sobą dom. Gdyby nie to, że obca wola sterowała wszystkimi moimi ruchami i myślami, najprawdopodobniej popadłbym w głębokie szaleństwo. Zatrzymałem się bowiem przed moim własnym domem! Tak jak w moim śnie brama otworzyła się, umożliwiając mi wejście na teren przyległego ogrodu. Ściskając kilof w rękach skierowałem się do drzwi. Były otwarte. Wszedłem. Wnętrze domu nie przypominało jednak wystroju, jaki znałem. Ściany były pokryte różnymi symbolami i inskrypcjami. Nie miałem jednak czasu przyjrzeć im się dokładniej, gdyż coś – lub ktoś – skierowało moje kroki do piwnicy. Zszedłem po starych, skrzypiących schodach oświetlonych przez niezemskie światło wydobywające się ze szczelin w ścianach. Kiedy już byłem na dole, obróciłem się twarzą w kierunku jednej ze ścian i uderzyłem w nią kilofem. Po pierwszych uderzeniach posypał się tynk oraz odłamki cegieł i rozkruszonej zaprawy. Po chwili jednak kolejne uderzenie uczyniło wyłom w ścianie. Z dziury powiało zatechłym powietrzem. Za ścianą było pomieszczenie, o którego istnieniu nie miałem pojęcia, i o którym wolałbym nigdy się nie dowiedzieć.

Rozbiłem ścianę do końca. Kiedy przekroczyłem próg, w pomieszczeniu zapłonęły ustawione na podłodze świece. W ich świetle dostrzegłem przerażający wystrój tego miejsca. Ściany były zachlapane zakrzepłą krwią, którą ktoś namalował gdzieś upiorne obrazy i wypisał niezrozumiałe dla mnie słowa. Lecz najgorsze było to, co zobaczyłem na podłodze. U moich stóp leżały porozrzucane fragmenty ciał, sądząc z wielkości, najprawdopodobniej dzieci. Dostrzegłem oczy, poukładane w niewielkie kupki, leżące pod ścianą, a także coś, co wstrząsnęło mną najbardziej: fragmenty ciał noszące ślady ugryzień, nie do końca objedzone kości oraz na wpół pożartą twarz dziewczynki. Mimo kontroli sprawowanej nade mną, zwymiotowałem. Kiedy mój żołądek pozbył się już całej swej zawartości, starałem się opanować i spróbować zamknąć oczy, lecz wciąż byłem zmuszony patrzeć na pozostałości po upiornej uczcie. Nagle przede mną pojawiła się postać w mnisich szatach. Uniosła głowę i upiorny śmiech zagrzmiął w tym małym pomieszczeniu. Ręce upiorka wyciągnęły się w moim kierunku, a pod kapturem zaśniły przygotowujące się do ugryzienia zęby. Nie wiem, jak udało mi się przełamać barierę strachu i siłę, dzięki której ten "Kapłan" miał nade mną władzę. Zamachnąłem się kilofem wbijając go w klatkę piersiową mężczyzny stojącego przede mną. Rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk, a ja sam straciłem przytomność.

Ocknąłem się w szpitalu. Leżałem przywiązany do łóżka, a pielęgniarka wbijała mi w żyłę igłę strzykawki. Widząc, że otworzyłem oczy uśmiechnęła się i powiedziała, że to tylko zastrzyk uspokajający. Ponownie straciłem przytomność.

Po tygodniu zwolniono mnie ze szpitala, nakazując zgłosić się na ponowne badania za miesiąc. Przez ten tydzień zdołałem dowiedzieć się, jak trafiłem do szpitala. Moje miasto zostało nawiedzone przez trzęsienie ziemi, a mnie przygniótł zawalający się strop piwnicy. Miałem podobno szczęście, że mój dom zaczęło odgruzowywać jako pierwszy, inaczej pewnie bym nie przeżył.

Zaakceptowałem tę wersję wydarzeń. Była o wiele bardziej prawdopodobna od tego, co myślałem, wiedziałem!, że mi się przydarzyło. Po dłuższym zastanowieniu postanowiłem napisać uzupełnienie artykułu o "misjonarzu" z Rosji i przyczynie zaginięcia dzieci i śmierci dwóch policjantów. Napisałem o tym, lecz nigdy nie wysłałem go do żadnej gazety. Z przeprowadzonych przeze mnie poszukiwań wynikało, że w naszym mieście nigdy nie przebywał nikt o nazwisku Gajdar, a tym bardziej jakiś wędrowny kaznodzieja. Policja od zawsze miała za zadanie natychmiast wyrzucać takich osobników z miasta. Ponadto, sam zacząłem zastanawiać się nad tym, co mi się przytrafiło. Może był to tylko bardzo długi i upiorny koszmar?

Jednak moje obawy co do prawdziwości tych wydarzeń potwierdziły się. Trzy tygodnie po opuszczeniu szpitala dostałem list od niejakiej Ann Smith. Przedstawiła się ona w nim jako Kapłanka Kultu Drugiej Strony. Zamieszczam poniżej przepisany fragment jej listu, który potwierdza, że moje przeżycia nie były jedynie koszmarem sennym:

*...tak więc został Pan wybrany na jego "łącze duchowe z rzeczywistością". SSS'thot, lub też Gajdar, jak nazywał siebie w waszym świecie, był renegatem i przestępcą. Zdradził nasz kult i na własną rękę rozpoczął przygotowania do rytuału otwierającego przejście na Drugą Stronę...*

...w waszym świecie jest nas niewielu. Najczęściej jesteśmy wygnańcami z naszego świata, lecz część z nas przybyła tu dobrowolnie, chcąc poznać waszą kulturę i obyczaje. Podobnie jak wśród was, tak i pośród nas są i uczeni i mordercy. SSS'thot został wygnany z naszego świata za popełnione tam zbrodnie. Został oddany pod moją opiekę. Ja jednak zawiodłem. Udało mu się zmylić moją czujność i uciec. Zabiliście go, lecz dzięki pewnym umiejętnościom powrócił on z zaświatów. Ponieważ zamieszkałeś w domu, w którym SSS'thot niegdyś miał kryjówkę, postanowił zrobić cię swoim łącznikiem. Dzięki tobie nawiązał kontakt ze światem materialnym. Dzięki twojej krwi miał powrócić do waszego świata. Jednak źle wybrał. Twoje sceptyczne nastawienie do, jak wy to nazywacie, parapsychologii i "magii" pomogło ci przełamać kontrolę nad twoim umysłem. Miałeś olbrzymie szczęście...

Do listu dołączony był niewielki zielony kamyczek na srebrnym łańcuszku – *to za okazaną nam pomoc. Noś ten kamień zawsze przy sobie. Dzięki temu rozpoznamy cię.*

List spaliłem, a kamień wrzuciłem do szuflady. Miałem dość wszelkich dziwnych rzeczy po tym, co przeżyłem. Nie obchodziło mnie kim lub czym był ten mężczyzna ze snu..

\*

Te słowa piszę dokładnie dwadzieścia lat po otrzymaniu tamtego listu. Dziś w nocy śniła mi się gromada ludzi odzianych w długie, granatowe tuniki. Odprawiali oni jakiś rytuał. Słychać było płacz dzieci... Zajrzałem do szuflady. Zielony kamień świecił delikatnie. Na jego powierzchni dojrzałem wzór – płaskorzeźbę przedstawiającą jaszczurę stojącego na dwóch nogach, ubranego w długą, powłóczystą szatę. Mógłbym przysiąc, że nic takiego wcześniej nie zauważyłem...

Zostało mi już tylko kilka minut. On pojawił się wczoraj we śnie. Powiedział, że wiem o nich za dużo i że zabierają mnie na Drugą Stronę. Nie chcę się z nimi spotykać. Przede mną leży naładowany pistolet.

Już są. Słyszę ich kroki na schodach. Idą po mnie. Łatwo mnie nie dostaną. Mam sześć kul. Ostatnia jest dla mnie...

Marzec – Maj 1996

**REDAGUJE KOLEGIUM. Redaktor naczelny:** Adam Wieczorek. Współpraca: Michał Oracz, Jerzy Cichocki, Yubi oraz Ulmo.

**WYDAWCA:** Wydawnictwo Portal s.c.